



Emil Strzeszewski

MIEJSCA
NA KRAWĘDZI
SZEPTU



Emil Strzeszewski

Miejsca na krawędzi szeptu

Miejsca na krawędzi szeptu

Copyright © by Emil Strzeszewski

Redakcja: Katarzyna Derda
Skład i korekta: Katarzyna Derda i Paweł Dembowski
Ilustracja na okładce: Jarek „Khaal” Kubicki
Projekt graficzny okładki: Nina Makabresku

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

ISBN 978-83-65074-23-2

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz
ul. Sosnkowskiego 17 m. 39
02-495 Warszawa
<http://www.bookrage.org>

Miejsce na krawędzi szeptu

Moje drogi nigdy nie prowadziły do Rzymu. Wiodły raczej donikąd, tak mi się przynajmniej wydawało. Bywały długie i meandryczne, zawile i wyboiste. Czasami bałem się, że wypadnę z trasy...

Nie, nieprawda. Nie bałem się. Szczerze mówiąc, było mi to obojętne. Gdy jest się młodym, niezbyt trudno jest zrezygnować z życia. Przynajmniej mnie nie było. Mogłem zejść w każdej chwili, bez żalu i rozgoryczenia. A żyłem mocno. Tak, aby każdy dzień był świętem nieustającej podróży.

Nadal żyję mocno.

Lekki wietrzyk wpada przez okno i owiewa mi nogi. Lubię to. Tylko on pozostał taki sam, nie zmienił się w żaden sposób, odkąd pamiętam. Kiedy byłem małym chłopcem przemykał się między otwartymi okiennicami. Ochładzał, bawił się ze mną zupełnie jak inne dziecko. Traktuję go jak przyjaciela. Odwiedza mnie czasami, gdy sam tego pragnie. Kiedyś goniłem go — przemierzyłem za nim tysiące kilometrów, bezustannie pozostając w tyle. Teraz już z tym skończyłem. Przestałem, kiedy zrozumiałem, że jest moim przyjacielem. A przyjaciół się nie ściga, gdyż przyjaciele nie uciekają. Oni po prostu zawsze są przed nami, oczyszczając drogę.

*

Siedzę na balkonie, który mógłby spokojnie pomieścić trzy osoby, lecz jest za ciasny na moje dążenia. Spoglądam w niebo i szukam gwiazd. Dziś jednak chmury mi na to nie pozwalają. Może jednak wypatrzę choć jeden błysk z nieba. Mam taką cichą nadzieję.

Według części ludzi taka upalna, wczesna noc to niezbyt dogodna chwila na rozmyślanie. Wolą iść do klubów, grzać stołki i pić piwo. Podyskutować ze znajomymi, zabawić się. Nie mają racji. To nie są radosne rzeczy. Przynajmniej nie dla mnie. No ale to już pewnie wina wieku. Gdy lata lecą, człowiek się zmienia.

Dziś rano mały Jacek zbiegał tak szybko ze schodów, że nawet nie powiedział mi „dzień dobry”. Chyba mnie nie zauważył, bo stałem w drzwiach, szukając kluczy. Nigdy nie pamiętam, gdzie je schowałem. Słyszałem, jak chłopiec dopada do wyjścia i wpada z hukiem do swojego mieszkania. Trzasnął tak, że pół bloku się zatrzęsło. Uśmiechnąłem się. Gdy miałem tyle lat co on, robiłem to samo. Działo się tyle ważnych rzeczy, że byle staruszek z pierwszego piętra i jakieś tam hałasy nie zwracały mojej uwagi. Teraz sam jestem dziadkiem z pierwszego piętra. Hałasy jednak nadal mi niestraszne.

Lubię tego niesforne go siedmioletniego blondynka z wiecznie umorusaną twarzą. Nie jestem jednak pewien, czy lubi go matka, bo ciągle słyszę jej krzyki. Drze się na swojego chuligana wniebogłose, klnąc stanowczo zbyt często. Jest młoda, a głos ma stary, zmęczony życiem. Nie przepadam za nią.

Cóż, nie muszę.

*

Często patrzę w gwiazdy. Praktycznie zawsze, gdy jest pogoda i nic innego nie mam do roboty. A nawet gdy mam, rzucam pracę bez zastanowienia, idę na balkon i podnoszę wzrok. Żałuję, że nie mam teleskopu; nie kupiłem go, gdy trzymały się mnie pieniądze, odkładałem to zawsze na później. W końcu przyszły lata chude i nie nabyłem nawet zwyczajnej lunety. A tak lubię niebo...

Gdzieś tam jest moja żona. To ta jedna z jaśniejszych gwiazd. Pewnie sprawdza, czy jem śniadania, czy ćwiczę przed południem, albo czy się uśmiecham. Tak, kochanie, dbam o siebie, nim minie południe robię dwadzieścia pompek i czterdzieści brzusków, a uśmiech praktycznie nie znika mi z twarzy. Chyba że śpię. Ale starzeję się. Czy też może — dziecinniej?

Odeszła po cichu, cztery lata temu. Zasnęła obok mnie spokojnie i łagodnie. Kiedy wstałem, wydawało mi się, że chrapie cichutko, ale potem lekarz powiedział, że umarła o czwartej. Dziwne. Byłem przekonany, że naprawdę słyszę jej lekkie chrapanie, takie miłe i urocze. Z niczym nie mógłbym go pomylić.

Nie chorowała, nie skarżyła się na bóle, nie miała ukrytego nowotworu. Doktor nie był w stanie stwierdzić, dlaczego nagle przestały pracować jej płuca i serce. Rozłożył tylko ramiona i rzekł: starość. Jakby to cokolwiek mogło wyjaśnić... Ale nie mam pretensji. Nie mogę mieć. Przecież żona umarła łagodnie, nie cierpiąc. Powinienem być wdzięczny losowi, że spotkał ją taki koniec. Kto by nie chciał umrzeć w ten sposób?

Byłem dziś na jej grobie. Najpierw wpatrywałem się w portret Anny i przypominałem sobie lata młodości. Dziś już prawie nikt nie pamięta Jima Morrisona, Pink Floydów i pierwszych promów kosmicznych. Skończyły się tamte legendy, przeminęła nasza magia. Wąsaci tyrani i łysawi generałowie odpływają w mrok historii, gdzie ich miejsce. Rozsypujemy się w proch powoli, na granicy starego i nowego. Tylko nasze pokolenie oddziela świat od nowej ery. Kiedy wszyscy wymrzemy, świat znów odmłodnieje, napędzany nową energią. To oni wreszcie wezmą go na swoje barki, byśmy mogli odpoczywać w pokoju. Tak być powinno, a jednak czegoś żal. Nie życia przecież — te spędziliśmy najlepiej, jak mogliśmy. Pamięci — myślę sobie — mojej i Anny wspomnień, które zrozumieć możemy tylko my sami.

Potem poszedłem na grób Zakrzewskich. Chodzę tam co tydzień, nawet częściej niż do żony. Oni leżą na cmentarzu dłużej, łatwiej więc o nich zapomnieć. A ja lubię pamiętać o ludziach.

Zakrzewscy mieszkali kiedyś na parterze pod nami. Byli młodzi, młodsi niż my i w przeciwieństwie do nas, los uraczył ich całym wianuszkiem dzieci: pięcioma cudownymi dziewczynkami i dwójką chłopców — bliźniaków. Najbardziej lubiłem Moniczkę. Miała śmieszne, rude kręcone włoski i lekko piegowaty nosek. Chłopcy byli do niej podobni. Czasem śmiałem się, że najwyraźniej żona sąsiada musiała pójść w tango przynajmniej dwa razy, bo maluchy ani trochę nie przypominały ojca.

*

Moniczka zmarła nagle, niedługo potem w jej ślady poszli bliźniacy. Następnie przyszła pora na matkę, a wreszcie odszedł ojciec. Nie wiem, co stało się z resztą dzieci. Chyba zabrała je opieka społeczna, bo już nigdy więcej ich nie zobaczyłem.

Po Zakrzewskich przyszli następni sąsiedzi. Nie pamiętam już, jak się nazywali. Ci z kolei byli podobni do nas. Spokojni, wyważeni, nienarzucający się nikomu, zawsze miło witali się ze wszystkimi na schodach. Nie mieli dzieci, chyba nawet nie chcieli. Jak komu wygodniej...

Z nowym sąsiadem dwa razy poszedłem na piwo nad rzekę. Łowiliśmy ryby i gawędziliśmy. Było całkiem przyjemnie, tylko przeraźliwie seplenił, a przy tym mówił strasznie szybko. Często nie potrafiłem za nim nadążyć. Milczałem więc zazwyczaj, przytakując tylko z półuśmiechem. Bądź co bądź, miał wesoły głos i miło było wsłuchać się w jego brzmienie.

Umarli niedługo potem, cicho i w spokoju. Chyba pół miasta było na ich pogrzebie. Niebo nie płakało. Wręcz przeciwnie, było wtedy bezchmurnie i gorąco.

Po nich zjawiała się kolejna rodzina. I tej nie było dane zbyt długo pomieszkiwać na parterze pod nami. Umarli tuż po mojej żonie, mniej więcej rok później.

Najlepiej pamiętam ich radosne, choć niepewne uśmiechy, gdy przychodzili rzekomo po cukier. Nie znali nikogo w mieście i zwyczajnie nudzili się. Energia wprost ich roznosiła, a usta się nie zamykały. Byli przy tym bardzo otwarci, a towarzystwa potrzebowali zawsze. Nikt nie podejrzewał, że nie zabawią tu długo. Cieszyliśmy się i jak dobrzy sąsiedzi, zapraszaliśmy na kawę oraz ciastka. Nie mieliśmy wielu gości, więc tym chętniej przyjmowaliśmy nowoprzybyłych pod nasz dach. Nasze rodziny już dawno poumierały, a dzieci braci i sióstr porozjeżdżały się po świecie. Swoich własnych nie mieliśmy. Tęskniliśmy więc do innych. Zawsze to jakaś odmiana.

Potem mieszkanie stało puste przez dwa lata, aż zjawili się rodzice Jacka wraz z latoroślą. Wprowadzili się mimo plotek na temat mieszkania...

Wszyscy mówili, że jest przeklęte, bo zmarło w nim tyle osób i nikt nie zaznał tam spokoju oraz radości. Pewnie było w tym trochę prawdy, ale na pewno nie cała.

Całą znałem chyba tylko ja...

*

Mrugnęła do mnie! Wiem, że to ona. Tylko moje kochanie potrafiło puszczać perskie oko tak, że miękły mi kolana. Praktycznie do ostatnich dni pozostawała dla mnie atrakcyjna. Co ja mówię — atrakcyjna — była piękna! Kobieta w kwiecie wieku, która starzała się z klasą. Nie używała kremów ani kosmetyków zapobiegającym objawom upływu czasu, a do końca cudnie wyglądała. Nie mogłem wyjść z podziwu. Dalej nie mogę. Choćby te mrugnięcia, tak urocze i słodkie, które kusiły mnie, aby paść na kolana i jak młodzik wyznawać miłość.

Ona także lubiła gwiazdy. Tak właśnie ją poznałem. Zafascynowany patrzyłem w niebo nad rzeką, w zacisznym zakątku, myśląc naiwnie, że nikt mnie tu nie znajdzie i nie będzie przeszkadzał. Obserwowałem ciemną noc, wdychając wilgotne powietrze. Rozłożony na mchu, marzyłem jak zwykle.

Nawet nie zauważyłem, kiedy położyła się obok mnie i spojrzała w niebo. Nie wiem, ile tak trwaliśmy, każde z osobna, a jednak razem, podziwiając gwiazdy. Być może chwilę, a może nawet dwie godziny. W końcu zapach dymu wyrwał mnie z rozmyślań. Spojrzałem w bok.

Trzymała jakiegoś radzieckiego smolucha, który straszliwie kadził. Nawet nie patrzyła w moją stronę, po prostu zaciągała się i spoglądała w nakrapianą świątelkami czerń. Obserwowałem ją dłuższą chwilę, milczący i zdumiony. Jej małe piersi unosiły się łagodnie, gdy wdychała dym do płuc. W jej oczach odbijał się księżyc. A ja miałem coraz większą ochotę uciec. Zawsze byłem nieśmiały.

— Chcesz? — wyciągnęła papierosa w moim kierunku.

— Nigdy nie paliłem...

— Zawsze musi być ten pierwszy raz.

Och, jak pięknie dwuznaczne to było zdanie! Oto kobieta, piękna, odważna, podaje mi papierosa, a jakby przy tym obiecywała cały świat! Spłonąłem cały czerwienią, ale wytrzymałem. Ten duszący smoluch, „dar” radzieckich *druzia*, zatrzymał mnie przy niej na sześćdziesiąt lat.

A teraz mruga do mnie, gdy palę fajkę na swoim zbyt małym dla marzeń balkoniku. Zupełnie, jakby mówiła przy tym: pamiętasz, kochanie? Twój pierwszy papieros, ja i ty nad brzegiem rzeki, ukryci przed światem, obserwujący niebo. Pamiętasz?

Pamiętam.

*

Zaspałem! Chyba naprawdę się starzeję, skoro nie potrafię się już budzić o tej porze, o której zechcę. Zawsze było mi szkoda choćby chwili na sen, a teraz gniję w łóżku do późna. Zostało mi mało czasu, a jeszcze go marnuję.

Dzwonek. Ktoś naprawdę nie może się doczekać. Od kiedy nie miałem gości? Chyba od czasu jej pogrzebu...

Otwieram i widzę małego blondynka trzymającego biały talerz z ciastkami.

— Mama upiekła — mówi. — I powiedziała, że może będzie pan chciał spróbować?

Jego głos przypomina mi mojego przyjaciela. Wietrze, znowu jesteś!

— Bardzo chętnie — odpowiadam i przepuszczam malca przez próg.

Zdejmuje butki, stojąc na niedużych ścierkach, rzuconych, aby dywan nie pobrudził się od kurzu i błota. Może to dziwactwo, ale nigdy nie lubiłem sprzątać, co często prowadziło do kłótni z żoną. Złośliwy los chciał, że odpowiedni sposób znalazłem dopiero po jej śmierci. Choć pewnie i tak by się jej nie spodobał. Mnie jednak tak wygodnie. A mały rozumie. Nawet nic nie musiałem mówić. Widocznie to dla niego oczywiste. Dobry dzieciak.

— To ciastka z lukrem, mama mówi, że takie najprostsze, ale ona na razie innych nie potrafi...

— Piec — dokończyłem za niego.

— Tak, właśnie — uśmiecha się najszczerzym dziecięcym uśmiechem.

— Poczekaj chwilkę, ogarnę się tylko, bo dopiero wstałem.

Spuszcza głowę zawstydzony.

— To może przyjdę później...?

Śmieję się radośnie. Powinienem kiedyś pogratulować jego matce. Chyba w ogóle zmienię o niej zdanie. Dobrze go wychowała, mimo że wrzeszczy na niego przy każdej okazji. Może dlatego Jacek jest tak karny.

— Nie trzeba. Zaraz będę gotów.

Gdy wracam, zastaję go z buzią pełną smakołyku. Po raz kolejny tego ranka uśmiecham się rozbawiony. Naprawdę go lubię. Dobrze, że przyszedł. Trochę naiwnej radości zawitało do mojego domu. Gdybym sam miał dzieci...

Próbuję ciastko. Całkiem niezłe.

— Czemu pan mieszka sam? — pyta chłopiec.

— Starzy ludzie często mieszkają samotnie — mówię.

— A czemu?

— Wiesz, kiedyś miałem żonę. Była tak ładna, jak twoja mama.

— Moja mama jest brzydka. Ja wolę blondynki.

Prawie się udławiłem. Genialny dzieciak! Taki mały, a już wie, czego chce.

No i rzeczywiście. Jego matka jest ruda i przeraźliwie odrażająca. Na szczęście wygląd to nie wszystko. Poza tym, jakoś trzeba było zacząć rozmowę...

— Każda kobieta jest piękna. Wystarczy tylko umieć patrzeć — mówię.

— Pan umie?

— Sądzę, że tak.

— Mama mówi, że jest pan miłym człowiekiem. Trochę dziwnym, ale w pewnym wieku ludziom można to wybaczyć.

Kocham po prostu to dziecko.

— Mama zrobiła te ciastka specjalnie dla mnie? — pytam ze śmiechem, trzymając się za brzuch jedną ręką. Druga kruszy ciastko z lukrem. Posprzątam później. Albo i nie.

Kręci głową na znak, że raczej nie.

— Zrobiła je dla mnie i taty, ale tata powiedział, że nie zje nic przygotowanego przez początkującą kucharkę. Przyniosłem więc ciastka panu.

— Dobrze zrobiłeś. Inaczej by się zmarnowały. Dziękuję ci ślicznie.

— A wie pan...

— Tak?

— Pan jest fajny, ale ta pani spod balkonu to już nie bardzo...

Zdębiałem. Skąd o niej wie? Myślałem, że tylko ja ją widziałem, że tylko ja mogłem słyszeć, jak skrada się pod okna mieszkania na parterze.

Wstaję od stołu i podchodzę do okna, aby nie widział mojej twarzy. Łzy powoli wciskają mi się do oczu. Nie chcę, by Jacek je dostrzegł.

— Widziałeś ją? — mówię, starając się, aby głos mi nie drżał.

— Mmmmm... Raczej słyszałem.

Nie mogę już powstrzymać łez...

— A czemu pan pyta? — odzywa się malec. Wyczuwam w jego głosie lekkie napięcie.

— Dziękuję za ciastka, synku, ale teraz będę zajęty. Wiesz, starzy ludzie też mają swoje sprawy. Nie tak ważne jak wy, młodzi, ale jednak. Podziękuj mamie za łakocie. Były pyszne.

Śmieje się, wstaje z głębokiego fotelika przy stole, rzuca „do widzenia” i trzaska drzwiami.

Dobry dzieciak...

*

Siedzę i wypatruję jej. Wiem, że więcej nie przyjdzie, ale ogłupiam się nadzieją. Ona przychodzi tylko raz. Raz jedyny. Zwykle wystarczy.

Widziałem ją ostatnim razem na kilka dni przed pogrzebem

sąsiadów. Tych, którzy mieszkali tu, zanim sprowadziła się rodzina małego Jacka. Jak zawsze, zakradła się około trzeciej w nocy, pewna, że wszyscy śpią. Miała białe włosy i twarz, której nie sposób zapamiętać. Za to jej szept wgryzał się w mózg niczym krzyk. Tego nigdy nie zapomnę.

Siedziałem wtedy i, jak to miałem od dawien dawna w zwyczaju, popalałem fajkę patrząc w niebo. Było zachmurzone, żadna gwiazda nie przebijała się przez burzową warstwę. Ja jednak nie rezygnowałem. Nigdy nie rezygnuję z tego, aby choć przez chwilę pomarzyć.

Wtedy ją dostrzegłem. Wraz z nią podążał powiew czegoś nieznanego. Jakiś zapach, niepodobny do niczego, co znałem. Jestem pewny, że nie wiedziała, dokąd idzie, mimo iż śmiało i pewnie stawiała kroki. Wysoka, wychudzona postać, z półdługimi białymi włosami. Być może miały inny kolor, jakiś bardzo jasny odcień blondu, jednak w mroku nie sposób było tego ocenić.

Zniknęła pod balkonem sąsiadów z parteru. Choć mocno przechylałem się przez barierkę, nie mogłem jej dostrzec. Po chwili zaczęła szeptać. Dźwięk był cichy, niezrozumiały, jednak w jakiś dziwny sposób głośniejszy niż burza, która zaraz miała nadciągnąć. Wydawało mi się, że się modli. Nie jestem jednak pewien, bo nie znam żadnej modlitwy.

Nasłuchiwałem chwilę i czułem się coraz bardziej nieswojo. Coś mówiło mi, żeby odejść, uciec. Może rozsądek podpowiadał, żebym nie mieszał się do nieswoich spraw? Nie potrafiłem jednak zrezygnować. Chciałem wysłuchać do końca.

Wiatr zawiął wtedy mocniej i rozpadał się deszcz. Niebo stało się jeszcze ciemniejsze. Już wiedziałem, że na pewno nie dojrzę żadnej gwiazdy. Przestało to jednak mieć znaczenie. Z jakiegoś dziwnego powodu słuchałem dalej, jak kobieta szepce, choć docierały do mnie jedynie strzępy dźwięków. Myślałem z początku, że może chce się zakraść do mieszkania sąsiadów, ale nie. Ona tylko mówiła.

Potem doszły mnie słuchy, że widziano ją już nieraz, że zawsze tu przychodzi, ilekroć wprowadzi się ktoś nowy. Ludzie mówili, że szepce wtedy klątwy. Modli się o śmierć dla tych, którzy mogliby być szczęśliwi. Prawdopodobnie niegdyś w tym mieszkaniu umarł jej mąż. Umarł dlatego, że ktoś kiedyś, tak jak teraz ona, szeptał złowieszco pod oknami.

Nie wiem, co stało się z tymi, od których usłyszałem tę historię. Dawno już ich nie widziałem. Dziś byłiby staruszkami, zupełnie jak ja.

I tak zostałem sam, jedyny, który poznał legendę o szepczącej kobiecie spod balkonu na parterze.

Gdy opowiadano mi o tym, śmiałem się i nie dawałem wiary. Teraz przeżyłem już zbyt dużo, aby dziwić się i zaprzeczać rzeczom, o których

nie mam zielonego pojęcia.

*

Znowu zasnęłam... Tym razem na balkonie. Chyba dostałam gorączki. Przemarzałam do kości. W moim wieku niewskazane jest nawet spanie przy otwartym oknie, a co dopiero na świeżym powietrzu bez przykrycia. Chyba się przeziębłam. Nie lubię chorować. Szkoda na to czasu.

Dziś pewnie nie wyjdę z mieszkania, aby popatrzeć w niebo. Żał mi tego, ale cóż... W końcu jedną noc mogę przeżyć bez marzycielstwa. Gwiazdy mi nie uciekną. Poczekają. Jedna na pewno. W końcu mnie kocha.

Wyglądam przez okno. Będę śleczął przy nim dzisiaj cały dzień, opatulony szczelnie kołdrą i z termoforem na nogach. U boku, na małej, pięknej szafce nocnej postawię herbatę z malinami i spróbuję nie dać się zarazkom. Mógłbym umrzeć nawet dziś, jestem stary, przychodzi na mnie pora. Ale nie mam ochoty odchodzić w męczarniach, a na pewno nie chory! Wolę zgasnąć natychmiast, tak bez powodu nawet. Ot, niech ktoś pstryknie palcami. Ale nie w gorączce i osłabieniu. Chcę czuć, że żyję, do ostatniej sekundy.

Dziś ze śniadania nici. Pewnie też nie poćwiczę. Są ważniejsze sprawy. O wiele bardziej istotne — czy białowłosa kobieta nie pojawi się przypadkiem znowu. Wprawdzie chyba nigdy nie przybywa za dnia, ale wolę się upewnić.

Pukanie do drzwi. Odrywam wzrok od szyby i wstaję niechętnie z fotela. Zdążyłem już wygrzać miejsce, a tu ktoś śmie mnie napastować. No, ale nie powinienem narzekać. Gość w dom i tak dalej...

Nie lubię tego przysłowia.

Patrzę przez wizjer, choć niewiele widać. Stary już ten judasz i zalepiony brudem, ale mimo to usiłuję z niego korzystać.

Przywiązuję się do rzeczy. Do ludzi też. Kocham moje dziwactwa.

Może matka Jacka miała rację? Chyba rzeczywiście jestem specyficznym sąsiadem.

Otwieram drzwi.

— Jacek? — dziwię się niepomnie. — A co ty tu robisz? Coś się stało?

Patrzy na mnie tymi swoimi wielkimi oczami. Można się w nich przeglądać jak w zwierciadle. Wiernie odbijają rzeczywistość. Podobno po oczach można poznać, jak kto patrzy na świat. Takie jak u tego malca świadczą, że jest dobrym obserwatorem. Wnikliwym i ciekawym. To właśnie jego pech. Jego przekleństwo.

— Taty nie ma, a mamusia zachorowała... — bąka i chlipie na przemian. Zaciska mocno piąstki.

Przechodzi mnie dreszcz. Muszę się oprzeć o framugę.

— Co się stało?

— Ja... Ja nie wiem... Ale może trzeba kupić lekarstwa?... Może pan wie?

— Chyba wiem... — mówię ponuro. Zaraz potem siłę się na uśmiech. Wychodzi mi raczej kiepsko. Co mam powiedzieć temu dziecku?!

— Chodźmy — decyduję, oprzytomniawszy nieco.

Kiwa głową i zbiega po schodach. Podążam za nim. Drzwi zostawiam otwarte, nikt nie okradnie mojego mieszkania. Zresztą, to teraz już nieważne.

Wchodzimy. Ciemny przedpokój, nieodkurzany od kilku dni dywan. Małe paprochy walają się po podłodze. Szukam dłonią kontaktu, żeby zapalić światło. Jacek ciągnie mnie za rękę.

Idę.

Leży. W pokoju.

Bez życia.

*

Popijam herbatę z cytryną. Dawno przestałem słodzić z powodu cukrzycy. Mam typowe, starcze przypadłości. Nic wielkiego, a jednak męczą. Czasem mam wrażenie, że do człowieka w moim wieku wszystko może się przyczepić, ale nie jest ze mną aż tak źle. To wszystko nic, zwykła betka w porównaniu z tym, co mają inni...

Źle się stało. To ja powinienem być na miejscu matki Jacka. Najtrudniej jest pogodzić się z faktem, że odeszła tak młodo. Wprowadzili się całkiem niedawno, raptem dwa lata temu. Cóż to jest? Mgnienie zaledwie. A zdarzyło się w tym czasie tak wiele... Kobieta osierociła małe dziecko, zostawiła męża z problemami. Nie żyło im się najlepiej, nie byli cudownym i wzorowym małżeństwem. Matka też była z niej byle jaka, ale patrząc na tego blondynka można odnieść wrażenie, że właśnie takiej potrzebował.

Teraz nie wiem, co się z nimi stanie, a przede wszystkim z małym. Ojciec sobie jakoś poradzi. Pewnie upije się raz czy drugi, spierze syna na kwaśne jabłko w przypiływie złości, ale w końcu się opamięta. A przynajmniej powinien. Jednak co będzie z Jackiem? Jak się odnajdzie bez matki?

Oczywiście, jeżeli i on niedługo nie dołączy do niej...

Ale to nie moje zmartwienie. Ja i tak tego nie dożyję. Łupie mnie w krzyżu, ledwo się ruszam. Nawet sięgnięcie po tę przeklętą herbatę okupuję okropnym bólem. Rozpadam się. A myślałem kiedyś, że jestem nieśmiertelny...

A tam! Starcze gadanie! I tak niejeden mógłby mi zazdrościć zdrowia. Trzymam się jakoś na swoje lata.

Pora się zbierać. Dopijam ostatnie łyki i wstaję. Muszę dobrać krawat do czarnej koszuli.

Idę na pogrzeb.

*

Było pięknie.

Ojciec Jacka stanął na wysokości zadania. Był trzeźwy, zapłakany w miarę, choć głos mu się łamał i wyglądał na przybitego. Pokazał jednak siłę mężczyzny, który w takiej sytuacji powinien dać z siebie wszystko i emanować mocą. Byłem pod wrażeniem. Jawił mi się jako ktoś, kto nie podda się, choć ma ku temu powody. Ogromnie sobie cenię takich ludzi.

Na grobie zamiast mowy odśpiewał ulubioną piosenkę żony. Nie znam tytułu ani autora, ale mogę ocenić, ile serca w to włożył. Chciał pożegnać zmarłą jak prawdziwą miłość swojego życia i udało mu się.

Rozczuliłem się.

Też chciałbym mieć taki pogrzeb.

Jest już późno. Obiecałem, że ich odwiedzę, że będę tam zachodził częściej, aby przypilnować małego, kiedy ojciec będzie w pracy. Chciał mi za to zapłacić. Też coś! Nie godzi się! Zresztą, pieniądze nie są mi już potrzebne. I tak nie kupię sobie lunety.

Jest już późno, pójdę do nich jutro. Dziś mieli straszny dzień. Przyda im się błogi sen. Choć wątpię, aby w ogóle zasnęli...

*

— Wie pan, panie Marku — mówię. — Każdy idzie swoją drogą. Czasem mniej lub bardziej sprawiedliwie, ale nie nam to oceniać.

— A komu? — odpowiada z żalem. — Przecież mamy prawo do własnego zdania. Ja chcę wyrazić to, co czuję. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego mnie to spotkało. Mnie i jego.

Milknie na chwilę, patrzy w ścianę. Ciężko jest słuchać tych słów. Trudno odpowiedzieć. Żalu nie można wysłowić — to jeszcze bardziej żałosne. Nie da się go wyrzucić. Sam musi odejść. Pomimo tego człowiek chce się go pozbyć. Jesteśmy puchem marnym, targanym przez potężny wiatr.

— Tak niespodziewanie, tak szybko... — podejmuje. — Wyszedłem do pracy z rana. Przyspałem trochę, więc musiałem pędzić co sił. Dopinałem się w biegu, o śniadaniu nie było nawet mowy. Dałbym głowę, że gdy się budziłem, słyszałem jej cichutkie chrapanie. Z początku byłem zły, że i ona zasnęła i nie zrzuciła mnie z łóżka na czas. Bo wie pan, to ona zawsze była rannym ptaszkiem...

— Tak to zwykle jest...

— Nawet przez chwilę nie pomyślałem, że zmarła już podczas snu. Do tej pory nie mogę sobie tego wyobrazić. Ja naprawdę słyszałem, jak pochrapuje! Ja nie zwariowałem jeszcze!

Skąd ja to znam...

— Proszę się uspokoić — mówię tonem, jakiego oczekuje się od wiekowego seniora, starając się oszukać samego siebie. — Tak to

czasem bywa, że nasze zmysły coś mamy. Był pan wyrwany ze snu, na wpół tylko zbudzony. Mogło się panu wydawać... Pan rozumie... To częste zjawisko.

— Tak, racja...

Odetchnąłem głęboko. Podziałało. Uznał mnie za specjalistę, choć nie powiedziałem nic nowego ani mądrego. Uwierzył mi z racji mojego wieku i doświadczenia, jakie mi przypisuje. Uważa, że swoje już widziałem. Wie, że przeżyłem śmierć żony i dlatego chyli przede mną czoła. Poza tym, co tu dużo mówić, naprawdę stary jestem i bliżej mi do grobu. Dlatego mogę o śmierci mówić, cokolwiek, nawet bzdury, a i tak mi uwierzy.

— Tylko to wszystko jest trudne...

— Panie Marku — nachylam się nad stołem w jego kierunku. Splatam ręce, tak wyglądam poważniej. Jemu potrzebny jest teraz mentor, a ja potrafię udawać mądrego. — Niech pan mnie posłucha. Wyjedźcie gdzieś z synem. To dobry dzieciak, on rozumie to na swój chłopięcy sposób. Ale niech mi pan wierzy, jemu też potrzebny jest odpoczynek. Musi sobie to poukładać, przywyknąć do myśli o odejściu matki. I tak zniósł to dobrze, radzi sobie. Biorąc oczywiście pod uwagę to, że wszystko widział, a przynajmniej tak mu się zdawało. Od razu przyszedł do mnie, bo uznał, że mam swoje lata i powinienem wiedzieć, co się robi w takich wypadkach. Jest inteligentny. Bardzo inteligentny. Ma pan cudownego syna, proszę o tym pamiętać. Potrzebuje teraz czasu. Czasu z panem.

Patrzy na mnie zdumiony. Na chwilę zapomniał o łzach. Jego twarz jaśnieje, rysy stają się łagodniejsze. Przetyka ślinę. Uśmiecham się lekko. Tego mu było trzeba. Kilku prostych banałów, prostych mądrości, które mówimy, gdy naprawdę nie wiemy, co powiedzieć. Odwzajemnia uśmiech. Nagle wszystko stało się dla niego prostsze. Przecież życie wciąż trwa!

Sięga po butelkę dobrej whisky i nalewa nam po szklaneczce. Potem wstaje i odstawia ją do barku. Na dziś koniec — myślę. Finałowa kolejka ku pokrzepieniu serc. Kolejka za lepsze życie.

— Dziękuję panu... — mówi zakłopotany.

Śmieję się cicho.

— Niech pan przestanie. Taka moja rola. Niech pan pamięta o mojej radzie.

— Jutro albo pojutrze wybierzemy się do kuzynów w góry. Chłopak popatrzy na skały, trochę połazimy po szlakach i zapomni o zmartwieniach. Szczerze mówiąc, i mnie to pomoże. Dziękuję raz jeszcze.

— Drobiazg — macham ręką i przepijam do niego.

Za lepszy czas.

*

Zostawił mi klucze, abym popilnował mieszkania. Nawet nie wie, jaką wyświadczył mi przysługę.

A jaką ja wyświadczam jemu... Być może skończy się wreszcie ten koszmar.

Dziś wiatr wrócił. Wpadł przez okno, niezapowiedziany. Szybko przeleciał przez mieszkanie i nie zatrzymał się, dopóki mnie nie znalazł. Siedziałem w kuchni, nad kawą, nie wiedząc, co ze sobą począć. Z początku nie zareagowałem na jego przybycie, zamyślony, rozżalony. Czekał wytrwale, ze zrozumieniem, aż oprzytomnieję. Potem, gdy go wreszcie zauważyłem, zerwał się z powrotem i zatłukł drzwiami. Otworzyłem. On natychmiast uciekł na dół.

Wtedy zrozumiałem, co chciał mi powiedzieć.

Poszedłem za nim.

Zapukałem do drzwi sąsiadów na parterze.

— Niech mi pan zostawi klucze — w nerwowych powiewach wiatru ledwo słyszałem swoje słowa. — Zaopiekuję się mieszkaniem na czas waszej nieobecności.

Wierzę, że każdy z nas stanie się kiedyś gwiazdą. Od marzeń człowieka zależy to, jak mocno będzie świecił. Znajdzie się wśród najbliższych, na dalekim skrawku Wszechświata. I będzie patrzył na wszystko oraz mrugał do tych, którzy na to zasługują.

Moja droga prowadzi do gwiazd. Jest kręta i zawiła, ale wiem, że z pewnością nie ślepa. Nie boję się, że wypadnę z trasy. Moje marzenia nigdy mnie nie zawiodły. Chcę świecić obok mojej ukochanej. Może wiatr mnie tam zanieśie, tak jak do mieszkania sąsiadów...? Może, tak jak zawsze, oczyści mi drogę? Może pokieruje przeznaczeniem?

Mam nadzieję, że białowłosa kobieta przyjdzie tej nocy pod balkon mieszkania na parterze.

I, ukryta w mroku, zacznie szeptać swoją niezrozumiałą, przeklętą modlitwę.

grudzień 2006

Ostrołęka

Nad wodospadem rytmu żyć

*Since were feeling so anesthetised
In our comfort zone
Reminds me of the second time
That I followed you home*

Placebo — The Bitter End

Tej sceny jeszcze nie przeżyłam.

Stoję nad brzegiem i widzę wodospad. Wodospad pokazuje przyszłość, w której widzę samą siebie, wpatrującą się w przeszłość.

Ta chwila nastąpi zapewne za parę dni lub tygodni, ale z pewnością nadejdzie. Mój los jest zapisany. Cała przeszłość i przyszłość niesiona wraz z wodą.

Stoję nad brzegiem i patrzę. To dziwne — widzieć samą siebie. Taką wściekłą, przepełnioną furią. Błada, upiorna twarz oszpecona gniewem; zaciśnięte pięści przecinające powietrze; słowa tnące duszę — to prawdziwie bezlitosny obraz. Wstydlivy widok. Nie ma nic bardziej okrutnego, niż zraniona kobieta.

Taką właśnie się stanę, gdy wreszcie nadejdzie chwila, którą pokazuje wodospad. Będę pamiętać dzisiejszy wstyd, ale to nic nie pomoże. I tak będę wymachiwać rękami i przeklinać wszystko. Nie dziwi mnie to.

Tamta przyszła ja ogląda naszą ostatnią kłótnię.

Nie muszę nawet słyszeć słów, aby pamiętać to, co wtedy mówiłaś. Zastanawia mnie tylko, co mówię w tej chwili z przyszłości?

Co powiem sama, gdy ten czas nadejdzie?

*

— Przywiozłem dla pani trochę jedzenia — mówi staruszek.

— Naprawdę nie było takiej potrzeby — odpowiadam, odbierając siatki.

Chleb, jajka, mięso i papierosy. Przede wszystkim papierosy.

Palenie rzuciłam dawno temu, jeszcze w czasach, gdy naprawdę smakowało. Poranna kawa i dymek były cenionym rytuałem, tak jak papieros przed snem. Wątpliwe przyjemności, krótkie chwile wytchnienia — kiedyś potrafiłam się nimi cieszyć. To było, zanim poznałam ciebie. Wtedy chciałam więcej, chciałam mieć wszystko. Kilka minut spokoju przestało wystarczać.

— Poczęstuje mnie pani? — pyta mężczyzna. — Jeszcze czasem zdarza mi się popalać, choć nie powinienem. Ale wie pani, w tym wieku

to już nie ma znaczenia, co się powinno, a co nie.

Kiwam głową i przesuвам po stole paczkę w jego stronę. Wyjmuje jednego drżącymi dłońmi i rozsiada się na krześle.

— Kiedy znajduje pan czas na wypad do miasta? — zagajam. — Nocami siedzi pan ze mną, dnie spędza pan z tym drugim człowiekiem. Nie sądziłam, że w ogóle opuszcza pan to miejsce.

— Mam swoje sposoby — mówi. — Naprawdę przepraszam, że muszę panią pilnować. Mam nadzieję, że nie jest to jakiś wielki kłopot. Proszę zrozumieć, że przy wodospadzie nie wolno nikomu przeszkadzać.

Wkładam produkty do małej lodówki i przysiadam się do stołu.

— Ależ doskonale rozumiem. Sama nie chciałabym, aby ktokolwiek schodził na dół, gdy ja tam jestem.

Śmieje się lekko.

— Słyszę to za każdym razem, od wszystkich, proszę mi wierzyć. Ale gdyby tylko zostawić kogokolwiek samemu sobie, zaraz wymyka się, by podglądać. Kilka razy już zaszedł taki incydent. Nigdy nie kończy się dobrze, więc w końcu postanowiłem pilnować osobiście.

Wypuszczam dym z ust.

— Trochę to dziwne, że ludzie koniecznie chcą zobaczyć, co inni widzą w wodospadzie — odpowiadam. — Nie wystarczy im, że sami patrzą na siebie? Chyba nie przychodzą tu dla innych, nieprawdaż?

— To też już słyszałem — chichocze. — Na zdrowy chłopski rozum, to ma pani rację. No ale coś jest tak pociągającego w tym miejscu, że ludzie do niego lgną. Jakby zawsze im było mało.

Dusi papierosa w popielniczce, zastanawia się chwilę, a następnie zadaje pytanie:

— Pozwoli pani, że wyłudzę jeszcze jednego?

Uśmiecham się, dając do zrozumienia, że nie mam nic przeciwko.

— To jest święte i przeklęte miejsce. Święte, bo daje wgląd we własne życie, w te chwile, które chcemy pamiętać, przypomnieć sobie albo te, których zapomnieliśmy z jakiegoś powodu. Nad wodospad nie przyjeżdża nikt, komu się powiodło. Sami nieszczęśliwcy, łącznie z panią. Proszę się nie obrażać, tak po prostu jest.

— Nie obrażam się.

— Przyjeżdżają ci, co chcą zrozumieć. I zwykle zabierają te zrozumienie ze sobą, gdy wyjeżdżają. Albo chociaż zabierają wspomnienia.

— A ci, co się zakradają, gdy inni patrzą?

— Oni?

Zapala kolejnego, namyśla się i wreszcie dopowiada:

— Oni kradną.

*

Ja rzuciłam palenie, ale nie ty. Dziecko nie okazało się dostatecznym

powodem, aby porzucić nałóg. Denerwuje mnie to, ale rozumiem. W końcu ty nie musiałeś rzucać. To nie ty byłeś w ciąży.

Nasza mała ma właśnie trzy miesiące i jej główne zajęcie to płacz. Choć czasem rozpogadza się, by obdarzyć nas najśłodszym uśmiechem pod słońcem, to nie jest ten dzień. Dziś ma kolkę i wszelkie słodkości zostają zakrzyczane oraz zapomniane.

Noszę ją na zmianę z tobą. Oto dwójka nieudaczników, którzy nie potrafią zrozumieć prostych mechanizmów niemowlęcia. Wydaje mi się, że cała wiedza przekazywana z pokolenia na pokolenie przez wszystkich ludzi tego świata, została przez nas zaprzepaszczona, unieważniona, zakopana osiem stóp pod ziemią.

Z pokoju małej do łazienki, stamtąd do twojej pracowni. Sypialnia, salon, półki z toną książek, szafka z okazałym zbiorem fajek. Za szybą wrzoscowe kawałki drewna i wypolerowane ustniki odbijają światło, mienią się bielą oraz brązem.

Otwierasz szafkę i po chwili po pokoju roznosi się zapach tytoniu. To czasem uspokoja dziecko, nie wiedząc czemu. Fajki są dla dorosłych, nie dla dzieci.

Mała na chwilę przestaje płakać. Wreszcie można usłyszeć własne myśli. Rozsiadasz się w fotelu i powoli, cichutko, zapalasz jedną z fajek. Takiego cię pamiętam — z fajką w dłoni, z dymem wypuszczanym delikatnie wąską strużką z ust. Nie poczuję już zapachu twoich aromatów, nawet tej latakii, śmierdzącego świństwa, o którym mówisz, że wędzą je nad gównem wielbłądów. Nasze dni smakowały na zmianę tymi tytoniami. Naszą miłość wypełniała czysta, czerwona virginia, codzienność waniliowa mydlanka, a kłótnie bardzo papierosowy burley.

Siedzę na brzegu jeziora i wpatruję się w wodospad wyobrażając sobie, że jesteś obok. Przyjechałam tu za tobą, choć nigdy tu nie byłeś. Gdy tylko zjawiłam się, staruszek prosił mnie, abym nie próbowała się topić. Mówił, że nie znosi wyławiać zwłok.

*

— Mam nadzieję, że pani nie pije wody z jeziora — poważnym tonem mówi mężczyzna. Za oknem jest już ciemno, ale nie widać gwiazd. Zbierają się burzowe chmury.

— Nie, skądże — mówię zdziwiona.

Staruszek drapie się po głowie wyraźnie zakłopotany.

— Bo widzi pani, niektórzy piją — wyjaśnia. — Ona nie jest zdatna. Nie powinna pani tego robić.

— Nawet na to nie wpadłam.

— Ta woda... — ciągnie gospodarz. — Ona jest zarazem darem, jak i przekleństwem, już to chyba zresztą mówiłem.

— Tak, było wspomniane.

— Pani wybaczy, że ja tak wracam czasem, ale pamięć już nie ta, co

kiedyś, a i ważne, aby wszystko było zrozumiałe. Ja niby tłumaczyłem pani zasady pierwszego dnia, ale bywa, że coś pomnę.

— A wie pan...

Przerywam niepewna.

— No, śmiało — zachęca mnie.

— Ciekawi mnie, czym dla pana jest wodospad. Jak pan tu trafił? Zagląda pan do niego?

Śmieje się i kręci głową.

— Nie, ja tu tylko pilnuję. Taka praca, ktoś to robił kiedyś przede mną, to i ja tak robię. To, widzi pani, coś w rodzaju powołania.

— Tyle pan wie o tym miejscu. Nie wierzę, aby pan z niego nie korzystał.

Wyciąga papierosa. Dziś sam przyniósł paczkę dla siebie. Mocne, czerwone, krótkie, bez filtra — prawdziwie męskie papierosy. Takie, które mogą kojarzyć się z ludźmi starej daty.

— Z początku myślałem, że będę patrzył — opowiada. — Dumalem sobie, że to tak jak ze spełnieniem marzeń małego chłopca, który marzy, że jest strażakiem lub policjantem i wreszcie dostaje coś, dzięki czemu może być kim zechce. Ale mój poprzednik wyjaśnił mi, że to tak nie działa, że nie da się fabrykować wspomnień, że wodospad nie pokaże nic, co nie jest prawdą.

Stawiam przed nim kubek parującej kawy. Wiem, że ją lubi. Zdążyłam się go nieco nauczyć. Poza tym budzi zaufanie, jest kimś, kogo chce się słuchać, a ja potrzebuję kogoś, kto będzie mówił do mnie przed snem. Nie ma już ciebie, musiałam więc znaleźć zastępstwo.

— No a ja mam takie życie, że już nawet nie chce mi się patrzeć na siebie w lustrze, a co dopiero w wodospadzie. Ja tu pilnuję od maleńkości. Co ja mógłbym zobaczyć? Siebie, jak pilnuję? Po co? Wodospad nie powstał dlatego, by dawać przyjemność, ani tym bardziej, by sobie pofantazjować. To taki katalog wspomnień, ruchomy, mokry film o sobie samym. Jedynie odbija obrazy życia, odtwarza je.

*

Mam taką zasadę, że w przypadku najmniejszej nawet sprzeczki, nie chcę się z tobą kochać. Wystarczy, że powiesz cokolwiek, co byłoby mi nie w smak i brama zamknięta. Przechodzi mi choćby i największa ochota na miłość. Tak jest i w tej scenie, którą właśnie oglądam.

Zresztą, nie musisz tak naprawdę ty sam nic robić, abyśmy nie kochali się w nocy. Większość takich sytuacji powoduję ja sama. Ot, wystarczy, że uznam, iż nie pomagasz mi w pracach domowych, choć wcale o pomoc nie prosiłam. W chwili, gdy czuję się bezsilna wobec najmniejszego oporu rzeczywistości, cała reszta przestaje mieć znaczenie. Odpowiedzialność przerzucam na pierwszą osobę pod ręką.

Albo wtedy, gdy wmawiam ci, że powiedziałaś coś, czego właściwie

nie powiedziałaś. Lub gdy ja czegoś nie powiedziałam. Upnę się przecież, że jednak prosiłam cię, abys kupił daną rzecz. W pierwszej chwili wiem, że nic takiego nie miało miejsca, ale zaraz już wierzę, iż było odwrotnie. Wrodzona przekora przekłada się na niechęć do bycia winną. Chcę pozostać kryształowa za wszelką cenę.

Chcę taka być dla ciebie, bo tylko wtedy seks jest naprawdę cudowny. Potrafię być sobą, będąc tylko czysta jak łąza. Jakakolwiek plama na wizerunku, charakterze, sytuacji, wywołuje we mnie wściekłość. Wyładowuję się na tobie, krzyczę, rzucam garnkami.

Jestem furiatką i wiem, że trudno mnie kochać. W jednym momencie potrafię wypaczyć tak swoje, jak i twoje uczucia. Łamię w tobie pasję, testuję pokłady cierpliwości. Gdy wysłuchujesz, jestem dumna. Mam dowód oddania. Staję się pewna, wdzięczna. Jednak nie na tyle, aby móc ci to wynagrodzić.

Dlatego właśnie tak długo zajęło nam zajście w ciążę, dlatego tyle czasu czekaliśmy na córkę. Osiem lat. Całe osiem lat.

Nigdy mnie nie opuściłeś, zawsze byłeś przy mnie. I właśnie teraz o to się kłócimy. O twój upór, który w chwili złości biorę za bierność. Wyrzucam ci, że nie jesteś w stanie mnie podniecić, że już na mnie nie działasz. Że twoja uległość jest tak bezpłciowa, że gotowa jestem rzucić się natychmiast w ramiona innego.

Wrzeszczę, że nie potrafisz trzasnąć drzwiami, a gdy obiecujesz, że jeśli nie przestanę, zrobisz to raz na zawsze, ripostuję, iż i tak nie masz gdzie pójść, że już próbowałeś. Wychodziłeś z domu wiele razy, a nawet nigdy nie wróciłeś pijany. Bo jesteś tak przyzwoity, że szkoda ci mnie. Wolisz przejść kilka ulic, przespacerować dzielnicę oraz nie wstąpić po drodze do baru. Raz kupiłeś czarny kubek, śmieję się. Na tyle było cię stać. Twoim świadectwem furii jest kubek do kawy.

Za moment ostrzegam cię — jeśli wyjdiesz teraz, możesz nie wracać. Skoro nie ma miejsca na moje zdanie, nie będzie go na twoje. Nie wiem, czego chcę — wypunktowujesz wszystkie logiczne braki, całą moją paradoksalność, ale nie jesteś w stanie przemówić mi do rozumu.

Wreszcie trzaskasz drzwiami, ale balkonu. Papieros, twój tymczasowy przyjaciel. Z dymem wypuszczasz z siebie wściekłość. Gdy przychodzisz na nowo do pokoju, nastają godziny ciszy potrzebnej, abym przebaczyła ci, że tak dobrze mnie rozumiesz.

Po tej kłótni pierwszy raz od wielu lat godzimy się w łóżku.

To wtedy wreszcie zachodzę w ciążę.

*

Gospodarz lubi grać w karty. Mówi, że tak naprawdę nie zna zbyt wielu rozrywek. Życie upływa mu na pilnowaniu, nauczył się więc cieszyć głównie oczy. Zależy mu, aby pozostały dobre, to jego narzędzie pracy. Chce łączyć przyjemnie z pożytecznym. Grywa więc w pokera,

rozwiązuje krzyżówki, ogląda telewizję, czyta. Na pytanie o używki odpowiada, że jak był młody, to starał się nie pić z przyzwoitości. Dziś nie pije, że i tak jest już za późno.

Jedyne, na co sobie pozwala, to papierosy, ale tylko z wyjątkowymi gośćmi, takimi jak ja.

— Obiecuję pani, że jak już pani wyjedzie, znowu przestanę — odgraża się.

— Mam nadzieję nie przesadzać z pana gościnnością — odpowiadam.

Macha ręką, rozbawiony. Jeszcze nie wiem dokładnie, kiedy żartuje i na ile tak naprawdę mogę sobie pozwolić. Gram bezpiecznymi kartami, tak bardzo znaczonymi, że w mig rozpoznaje moje intencje.

— Nie musi mnie pani tak badać! Ja nie jestem z cukru, nie roztopię się od wody, jak to mówią! Niech się pani nie krępuje, proszę się zachowywać naturalnie. Siedzimy tu w końcu już kawałek czasu i jeszcze sporo go spędzimy ze sobą. Mi chodzi o to, że z panią dobrze się ćmi lulki, ale nie chcę przesadzać, więc z następnym gościem z pewnością nie będę popalał.

Przyjmuję komplement z uśmiechem.

— Chyba, że to będzie tak samo miła dziewczyna — odpowiadam.

Zastanawia się chwilę.

— No cóż, istnieje takie ryzyko... Ale jakie są szanse?

— Myślałam, że wodospad nauczył pana, że wszystko może się zdarzyć. Z pewnością widział pan niejedną scenę niejednego człowieka.

Mężczyzna unosi się, aż krzesło upada z hukiem.

— Ja nie podglądałam innych! I pani też nie radzę! To jest kradzież, zbrodnia! I to się zawsze kończy źle!

Kiwam głową, ale ciekawość wygrywa.

— Naprawdę nigdy pan nie próbował? — zadaję pytanie.

— Nie! — ucina krótko. — I pani też nie pozwolę.

Nie drażę już dalej. Powracam do bezpiecznej gry.

— To co? Partyjkę? — kładę przed nim talie.

— Tak, chętnie. To lepszy plan na noc niż rozmowa o tym całym wodospadzie.

*

Jesteśmy w klubie. Nie potrafisz tańczyć, przyznaję to z bólem serca. Nie, żebym sama była świetną tancerką, ale przy tobie wydaję się być wręcz baletnicą. Masz grację słonia w składzie porcelany, wszystkie talenty i zalety skupiają się raczej w twojej inteligencji oraz osobowości. Czytasz ludzi, czytasz sensory. Potrafisz tworzyć. Tak sensory, jak i ludzi. Mnie na pewno stworzyłeś, bez ciebie nie byłabym skończona.

Patrzę jednak na twoje ruchy i mam ochotę cię zastrzelić. Nie wiem, czemu kiedyś podobało mi się, jak tańczysz. Jesteś zwykłym kotem salonowym. Wygrzewasz się na fotelu, w cieniu balkonu, z fajką w dłoni

chłonąc ciepło z powietrza. Leniwie puszczasz kółka, czasem założysz nogę na nogę. Oszczędzasz energię. Tak, wtedy jesteś zdecydowanie ciekawszy, lepszy. Ale do tańca nie masz żadnych predyspozycji.

No więc klub. Zwykle wściekam się, gdy nie pijesz po kłótni, kiedy jesteś w domu. Spokojny, poukładany mężczyzna, odpowiedzialny do granic możliwości od czasu do czasu jednak potrzebuje odpoczynku. Dziś więc wściekam się, że pijesz. Czujesz okazję, czujesz bezpieczeństwo, wiesz, że masz opiekę — nie wylewasz więc za kołnierz. Właśnie wtedy, kiedy nie trzeba. Kieliszek przyrósł ci do dłoni, stał się dodatkowym palcem, którym poruszasz równie sprawnie jak pozostałymi pięcioma. Inni wołają piwo, ale to nie dla ciebie. Nie lubisz kompromisów. Jak pić, to pić.

Wokół ciebie wiele kobiet, wiją się uwodzicielsko. Są piękne, kwitnące, pełne, tak jak ja potrafiał tańczyć. Wiele w nich słońca. Widać je na opalanej skórze, rozgrzanej winem i seksapilem. Trzymam się blisko. Nie dlatego, że ci nie ufam. Nie ufam im.

Pomimo rauszu, zachowujesz się po męsku, tak jak tego oczekuję. Nie zwracasz na nie uwagi. Przesuwasz się gdzieś na bok, gdy robi się tłoczno. Sam dla siebie, twój prywatny kosmos w niczym nieprzypominający gęstej zupy wokoło. Tulisz mnie mocno. Byłbyś naprawdę cudowny, gdybyś nie śmierdział wódką i gdybyś nie próbował tańczyć.

Teraz patrzę na to z rozczuleniem. Brakuje mi ciebie i oddałabym wszystko, aby znowu móc się tak gniewać jak tamtego wieczoru. To jedna z tych scen, które pamięta się nie dlatego, że zdarzyło się coś. Pojawia się, gdyż po prostu była — proste, normalne życie dwójki ludzi, których już nie ma.

Ty nie żyjesz. Ja wolałabym nie żyć.

*

— On był pisarzem, tak? — pyta staruszek.

— Uhm — pomrukuje znad zbioru kartek, starając się skupić na lekturze.

To twoja ostatnia powieść. Niedokończona, urwana gdzieś w połowie, zupełnie jak twoje życie. Dotyczy młodego małżeństwa, które w końcu po tylu latach doczeka się potomstwa.

Zawsze pisałeś tylko o sobie. O tym, co przeżyłeś i co znałeś. Dlatego nigdy nie zdobyłeś uznania. Ludzie nie chcą czytać o innych ludziach. Szukają w książkach krótkiej, ulotnej przyjemności, filmu złożonego ze słów. Niezobowiązującej akcji, którą wchłoną i wydalą, nim zdąży to ich naprawdę dotknąć. Pisarz musi kłamać, aby żyć. A ty byłeś tragicznym kłamcą.

— Ten człowiek, który też tu jest... — mężczyzna stara się wciągnąć mnie do rozmowy. — On mówi, że jego ojciec też był pisarzem.

— Naprawdę? — zaciekawia mnie to.

— Podobno tak, ale niewiele więcej wiem — odpowiada. — Oprócz tego, że nie żyje.

— Mamy więc coś wspólnego.

Przygryzam wargi, zastanawiając się, czy spytać. W końcu ciekawość zwycięża.

— Jak ten człowiek ma na imię?

— Może mieć jakiegokolwiek, tak jak pani. Nie prowadzę ewidencji.

— Uhm — odburkuję i wracam do lektury.

To jednak nie jest dobra noc na rozmowy.

*

Znowu przeszłość. Łatwiej patrzeć za siebie, niż przed. Jest znośniej. Zastanawiam się wtedy tylko na tym, co zrobiłam, a nie — co dopiero zrobię. W przeszłości jest więcej ciebie, właściwie jesteś tylko ty, bo ja jestem tłem. Jestem płótnem, na którym malujesz swoje życie. Tak, wtedy byłam dla ciebie ważna. Lubię sobie to przypominać. Ta świadomość mnie buduje.

Siedzisz przed komputerem i piszesz swoją powieść. Pootwierales kilka okien, pomiędzy którymi przełączasz ekran. Nigdy nie potrafiłeś się skupić na jednej rzeczy — chyba że była to fajka. Piszesz więc jedno zdanie, by po chwili czytać jakiś artykuł w sieci. Moment później rozmawiasz z kimś przez komunikator. Kolejne zdanie i oglądasz zdjęcia katastrofy lotniczej na którymś z portali. Przeglądasz forum. Sprawdzasz pocztę. Piszesz.

Zerkam ci przez ramię, jednak odganasz mnie tym swoim niedbałym ruchem, który mówi mi więcej o tobie, niż ty sam. To mieszanina irytacji i zadowolenia — lubisz być podglądany, chcesz mieć świadomość, że kogoś interesujesz. Mówisz, żebym nie przeszkadzała, aczkolwiek ledwo mnie dostrzegasz. Gdybym nie była tak blisko, gdybyś nie czuł mojego oddechu, nie wiedziałbyś, że tam jestem. Tylko że nie mogę się powstrzymać, chcę, żebyś mnie widział.

Jestem natrętna.

Wstajesz. Już dziś nie napiszesz ani słowa. Jednak udało mi się wybić cię z rytmu, nie potańczysz już z myślami, nie ułożysz nic emocjonującego. Rozumiem to. Po co pisać, skoro wie się, że nie zrobi się tego dobrze?

Tylko ten niedosyt, dostrzegalny w twoim spojrzeniu. Chciałbyś wrócić do klawiatury, masz chęć stawiać kropki i przecinki, mieszać elokwentne słowa z kolokwializmami, dodawać pikantne wulgaryzmy. Jesteś jednak kreatorem, panem i władcą świata, który wykwita spod twych palców, musisz więc być odpowiedzialny za to, co stwarzasz. Nie chcesz, by było to miątkie.

Mówisz, że masz problem z jedną z postaci drugoplanowych. Jest na

tyle ważna, że trzeba o niej pisać, ale nie wiesz jak. Nie masz pomysłu. Nie wiesz, kim mogłaby naprawdę być, co mogłaby chcieć, jakich lubi ludzi, jak wygląda jej dom, jej łóżko. Chciałabym podpowiedzieć ci, żebyś opisał mnie, ale zamiast tego uciekam wzrokiem uświadamiając sobie, że nie jestem dobrym materiałem na bohaterkę. Nawet drugoplanową.

Dopiero teraz wiem już, że nie chodziło o bohaterkę drugiego planu, ale o główną. O mnie.

Z kołyski odzywa się mała, więc bierzesz ją na ręce. W twoich ramionach uspokaja się momentalnie. Kołysząc ją, przemierzasz mieszkanie. Kiedyś wydawało się to zwyczajne, ale teraz dociera do mnie, że przez chwilę byłam naprawdę szczęśliwa.

Wodospad zamyka się na mnie i milczy. Jedyne, co widzę, to opadającą do jeziora wodę. Wstaję i kieruję się w stronę chatki. Zmęczenie uderza z pełną mocą, głód też robi swoje. Nerwowo szukam kluczy, aby po dłuższej chwili mocować się z zamkiem.

— Cholera jasna... — mechanizm ani drgnie, jakby się zaciął.

Zrezygnowana pociągam za klamkę.

Otwarte.

Po drugiej stronie stoi młody mężczyzna w bieliźnie. Mierzy mnie zdziwionym wzrokiem. Na stole w głębi izby chrapie starzec.

— Bardzo przepraszam! — mówię. — Pomyliłam domki.

— Nic się nie stało — słyszę w odpowiedzi. — Już pani skończyła?

— Słucham?

— Z wodospadem.

— Ach! Tak, tak! Pana kolej.

— Dziękuję.

— Jeszcze raz bardzo przepraszam!

I ze wstydu uciekam czym prędzej do swojej chatki.

*

Tego najchętniej bym sobie nie przypominała, ale wiem, że muszę. Wodospad miesza różne sceny, czasy, nie układa niczego chronologicznie. Raczej jakby losował na przemian z dwóch koszyków — gorzkich i słodkich wydarzeń. Wiem jednak, że zostało mi już tylko jedno, przypomnieć sobie najważniejsze.

Wypadek, krew, wasze ciała — twoje i mój.

Mam zobaczyć waszą ostatnią prostą. Betonowa jezdnia staje się czerwonym dywanem, po którym krocycie we dwoje. Trzymasz jej rękę, chodzi już sama. Wracacie z pracy, ze szkoły. Nie ugotowałam niczego, mamy wyjść do restauracji. To moje urodziny.

Przypominam to sobie sama, gdyż wodospad uparcie milczy. Zupełnie jakby nie chciał tego ze mną przeżyć, jakby zostawiał mnie samą, tak jak wtedy, gdy ty zostawiałeś. Wszechogarniająca groza, szok

końcowy.

To ostatnie skrzyżowanie oraz czarny samochód wpadający w poślizg. Rzęsisty deszcz i niedoświadczony kierowca, jakiś młokos, jak później opowiada policja. Nie dochodziłam, kto; nie chciałam. Żadnych informacji, żadnych wieści z dalszego postępowania. To już nie moje życie. Nie był pijany, tyle wiem.

To było tak blisko, że widziałam wasze twarze w ostatnim uśmiechu. Mówią, że to szybka śmierć, nagła — więc dobra.

Jest południe, choć słońce skryło się za cieniem chmur. Wchodzę do mieszkania na bosaka. Buty zdjęłam już na klatce schodowej, są całe we krwi. Nie chcę robić śladów. Tyle bałaganu. W pokoju pełno kurzu i zaplamiony obrus po wylanej nad ranem herbacie. Nie potrafiłam się zebrać, by go uprać. Tak go zastaną policjanci. Tylko o tym jestem w stanie myśleć.

Cisza wewnątrz kontrastuje z wrzaskiem w mojej głowie. Obezwładniająca, ogłupiająca wycie — prawdziwie jednostajne, nie pozwala na nic. Jak tylko iść naprzód. Przez korytarz do salonu — zostawiłeś niewyczyszczoną fajkę na stole. Śmierdzi resztkami niedopalonego tytoniu, jakby mieszaniną drewna i kwasu — oto ciemna, brudna strona fajek.

Następnie mały przedsionek. Zamknięte na klucz szafy z ubraniami na zimę, poupychanymi tak, że gdy kilka miesięcy później je otworzę, wylecą na mnie, wręcz wybuchną jak bomba. Nadal cisza.

Twoja pracownia, kompletnie pusta. Wyłączony komputer, niedopita kawa na biurku. Ciemnobrązowy osad już oblepił ścianki kubka. Ciężko go domyc, więc grymas niezadowolenia przebiega mi przez twarz. Nie zauważam sąsiadki, która wkradła się za mną i już zaczęła rytuał pocieszania.

Niczego nie dostrzegam.

Niczego nie ma.

Wodospad dalej uparcie milczy i nie pozwala mi zobaczyć wszystkiego.

*

W błękitnym welonie wodospadu wciąż nie widzę nic. Jego milczenie zaczyna irytować. Gorzkie wspomnienia odżywają same, bez pomocy opadającej w dół wody. Przygniatają duszę, o ile jeszcze jej resztką wypełnia ciało. Oddycham ciężko, wszystko mnie boli, brak jakiegokolwiek smaku w ustach. Gardło mam zaciśnięte, nie jestem w stanie przełknąć nawet kromki chleba. Mam dość. Chcę ujrzeć cokolwiek, nic nie może być gorsze niż moje własne wspomnienia. Lepiej oglądać je z zewnątrz, bez towarzyszenia tych wszystkich emocji, rozczarowania, wewnętrznego pęknięcia.

A jednak tu jestem i czekam. Na co? Na ciebie? Ty już nie wrócisz.

Nie wiem, gdzie jesteś. Widzę cię co dnia, a jednak nie ma cię przy mnie. Tutaj żaden zapach nie przypomina mi twojego. W poruszającej się przyrodzie nie dostrzegam nic, co byłoby podobne do twoich gestów.

Staruszek mówi, że czasem nic nie widać. Nie ma w tym żadnej reguły. Ot, kaprys, po prostu. „Wodospad jest kobietą” — żartuje. Ja jednak sądzę, że on wyczuwa stany tego, kto patrzy. Tylko czasem sobie kpi.

Już kilka razy miałam wstać i pójść do chatki, do tej swojej celi, w której mam ledwie łóżko, i towarzystwo gospodarza. Aczkolwiek cały czas wpatruję się w płynną pamięć wody, dziś znów milcząca. Na co czekam? Przecież nie na ciebie.

Nie potrafiłam odnaleźć się w pustym mieszkaniu. Dlatego tu przyjechałam. Trudno było znaleźć to miejsce. Mówią o nim, że to wodospad wdów, że przyjeżdża się tu, by umrzeć, utopić się z rozpaczy. Młodzi niewiele o nim słyszeli, starsi nie lubią o tym rozmawiać.

Może wodospad to tylko ułuda? Wytwór mojej chorej wyobraźni? Uciekłam do niego przed żalem, który gonił mnie wszędzie. To mam w spadku po tobie i po naszej córce. Obrazy dni ostatnich, wyjęte z podświadomości, oczyszczone lodowatą górską wodą.

Auto musiałam zostawić u podnóża gór. Wspinaczka zajęła cały dzień. Posiniaczona, zmęczona i zachrypnięta — odziałam się tylko w długi płaszcz utrudniający marsz. Zupełnie zapomniałam, że im wyżej, tym zimniej. Na dodatek nie miałam ze sobą ani kropli wody. Nim dotarłam na miejsce, musiała minąć bardzo chłodna noc.

Wydaje mi się, że od tamtej chwili minęły wieki, a przecież było to raptem kilka tygodni temu.

A to już drugi dzień z własnymi myślami. Mam w nich dłonie we krwi, kolana brudne od oblepiającego jezdnię szlamu, płuca wypełnione dymem płonącego samochodu. Przed oczami widok roztrzaskanej czaszki córki.

Nie chcę już.

Nie mogę.

Pokaż mi to, ale nie każ jeszcze raz przeżywać!

*

Idąc pod górę, pocieram dłońią o dłoń, jakbym chciała zmyć z nich niewidzialny pył. Czuję fale gorąca przechodzące przez ciało. Sprawiają wrażenie pulsujących wspomnień, nadchodzą w takt obrazów, które co chwila pojawiają się w mojej głowie. To migawki, nie układające się w żadne określone zdarzenie. Nie posiadają treści, nie układają się w żadną historię i przez te kilkadziesiąt metrów tracę własną przeszłość, przepełniają mnie cudze treści, obce sensory.

Uczucie jest tak wszechwładne, że obciąża kark, podcina nogi. Snuję się w kierunku chat z prawdziwym trudem, w tempie tak wolnym, że

wydaje się, iż nigdy nie dojdę do celu. Zrezygnowana już, ale wciąż uparta, stawiam krok za krokiem mając nadzieję, że to się zaraz skończy, jakkolwiek miałyby się skończyć.

Pot spływa po czole, ale dłonie zajęte są obsesyjnym wycieraniem samych siebie. Nie słuchają mnie, nie chcą robić tego, co powinny. Wreszcie serce wali jak młotem, myśli w końcu ciemnieją, zatrzymują się. Staję i ja.

A później widok ziemi, piachu i trawy. Głaz. Ścieżka. Czyjaś ręka, siła podnosząca mnie z klęczek. Jakieś słowa, kompletnie niezrozumiałe.

Siedzę... Nie. Na w pół leżę, a pod usta ktoś podaje mi zimną jak lód wodę. Szklanka. Chwytam za nią, przechylam. Pierwszy łyk pali żywym ogniem. Czuję, że przełykam całą rzeczywistość, cały świat. I siebie wraz z tym, gdyż świadomość, choć jeszcze przytłumiona, powraca.

— Jak się czujesz? — słyszę. — Lepiej już?

To ten mężczyzna, drugi gość. Młody, jasnoskóry brunet ze smutnymi, zatroskanymi oczami.

— Kiwnij głową, bo nie wiem, czy wzywać tamtego. Może trzeba jechać do szpitala? — mówi.

Zajmuje mi moment przetrwanie tego, co do mnie mówi. Po jego minie oraz ruchach wnioskuję, że moja chwila to dla niego wieczność. Część pola widzenia jest jeszcze rozmyta, a gdy otwieram usta orientuję się, że język staje kołkiem.

Kiwam więc głową, bo tylko na to mnie stać.

Pomaga mi w dalszym picciu wody i stara się nie milknąć, jakby myślał, że gdy przestanie, stracę przytomność.

— Przewróciłaś się, a ja akurat stałem w oknie. Próbowалаś iść na czworakach, ale ręce ślizgały ci się po ziemi. Nie wiem, czy to pamiętasz. Zasłabłaś, na pewno. Jesteś przekonana, że wracasz do siebie?

Przełykam i mrugam, co czujnie dostrzega.

— To dobrze, tylko tego by brakowało, abys mi tu zeszła — uśmiecha się. — Dobrze, że się przebudziłem. Zwykle o tej porze śpię, ale to już wiesz. W końcu wparowałaś któregoś dnia i widziałaś mnie w samych gaciach.

Staram się zaśmiać, ale zamiast tego krztuszę się i rozlewam wodę. Szklanka upada na podłogę i rozbija się w drobny mak. Mężczyzna bez żadnego zawahania uderza mnie dłonią w plecy, między łopatkami.

Pomaga.

— Oddychaj — mówi.

Kaszlę, a oczy szklą się od łez szoku, ale mogę wreszcie nabrać tchu.

Gdy przestaję, mój wybawca dodaje:

— Nie jesteś zbyt rozgarnięta, co?

— No chyba nie...

— Masz szczęście, że ja jestem.

Spoglądam na niego.

— Faktycznie, jesteś.

Uśmiecham się. Nieszczercze.

Uświadamiam sobie bowiem, że jego życie z pewnością nie mogło być tak tragiczne jak moje.

Uświadamiam sobie, że chciałabym ukraść jego wspomnienia i oddać mu swoje.

*

Dopiero się poznajemy, a ja wiem, że jestem w tobie zakochana.

Wiem, bo widzę to twoimi oczami, czuję w tym spojrzeniu, którym wypalasz mi pożądanie na plecach. Biegnę przed tobą, trzymając cię za rękę.

To znowu coś nowego. Oglądam swoje życie z twojej perspektywy. Nieistotne. Wodospad wreszcie wysłuchał prośb i przestał milczeć.

Kobieta zawsze wie, kiedy zaczyna kochać, ale nigdy nie rozumie — za co? Mężczyzna przeciwnie — nie zdaje sobie sprawy z tego, że już kocha, ale po fakcie wie już dlaczego. Więc zdążyłam cię już pokochać, chociaż ty jeszcze nie wiesz, co do mnie czujesz. Nie możesz jednak opędzić się od spojrzeń. Wzrokiem gładzisz moje ciało, ogrzewasz dłoń w mojej. Pociągam cię, wiem to.

Ubrałam się w beżową sukienkę, której zresztą nie pamiętam. Miałam kiedyś wiele ubrań. Na większość nie zwracałam nigdy większej uwagi.

Rzucasz jakieś słowa bez większego znaczenia. Brzmia znajomo, ale trudno mi rozpoznać twój głos. Nie pamiętam też tego widoku. Czy byliśmy kiedykolwiek w takim miejscu, czy to raczej jakieś twoje marzenie? Sen? Ostatnia myśl przed śmiercią?

Prowadzę cię do koca, na którym czeka kosz z jedzeniem. Rozsiadasz się, a ja nurkuję w zapasach. Bezceremonialnie patrzysz na mój tyłek.

Bezceremonialnie wypinam się, abys właśnie na to patrzył.

Zadajesz kilka pytań, by pociągnąć dyskusję. Jesteś żywą ciekawością, maskowaną nieudolnie przez te nieodgadnione, męskie poczucie godności, które nie pozwala na nazbyt jawną otwartość. Zastanawiam się, co mam rzec. To proste pytania, jednak nie banalne. Prostota bywa czasem bardzo skomplikowana.

Wtedy właśnie dowiadujemy się o sobie jednej z najważniejszych rzeczy — lubimy pytania bez odpowiedzi. Ta rzecz doprowadziła do tego, że zbliżyliśmy się do siebie. O ironio, towarzyszyła nam też podczas rozstania...

Pytasz mnie, czym jest miłość? Jesteś banalny. Jednak nie przeszkadza mi to. Oczywiście nie mogę ci odpowiedzieć. Nie wiem.

Też nie wiesz. Oznajmiasz, że wreszcie chciałbyś się dowiedzieć.

Zrobisz wszystko, by w końcu ją poczuć.

Uważam, że to najtańszy podryw świata, a ty, że prosty, ale za to najlepszy.

Uśmiechasz się i nawet teraz, po latach, kolana miękną mi na ten widok.

Dopiero teraz odbita w wodzie ja odwracam się, byś mógł spojrzeć na moją twarz.

Odwracam się i rozumiem, że to nie ja, a to wcale nie są twoje wspomnienia.

Śmieję się. Kobieta w wodospadzie też się śmieje.

*

To takie proste. To takie nierealne.

Patrzę twoimi oczami i czuję to co ty. Jednak nie jestem tobą.

Emocje tej kobiety też nie są mi obce, mam je w garści, tak namacalne, rzeczywiste do potęgi. Jednak nie jestem tą kobietą.

A jednak — to już moje wspomnienie. Już się w nim odnalazłam. Dłonie, tym razem spokojne, leżą bez ruchu na kolanach. Wilgoć wodospadu osiada na włosach, na twarzy, na ustach. Oblizuję wargi, wszystko smakuje latem, piknikiem i nowym początkiem.

Niepotrzebne środki przeciwbólowe schowałam w chatce. Zresztą i tak są przeterminowane. Staruszek trzymał je tu od lat, chyba tylko dla swojej własnej pewności. Prawdopodobnie nigdy wcześniej nie były mu potrzebne. Powinnam je wyrzucić, ale nie chcę.

Siedzisz w kawiarni. Jest środek zimy — po ulicy chodzą mokre płaszcze, mokre nogawki od spodni, tonące w grubym śniegu ciężkie buty. Promienie słońca leniwie liżą oblodzone dachy, nie dając ciepła, które zapewnia kawa z rumem. Nie słodzisz, choć zwykle cukru używasz w nadmiarze. Chcesz poczuć smak alkoholu. Wygrzewasz się w sali, zdejmujesz bluzę pod wpływem gorąca. Lato w środku zimy.

Palisz jednego za drugim. Nie smakują, jednak uparcie próbujesz. Gdy kończysz ostatniego z paczki, kupujesz następną, w nadziei, że ten dwudziesty pierwszy w końcu będzie taki, jak trzeba. Wychodzi zupełnie odwrotnie — jest ohydny. Dopalasz go szybko i dusisz z grymasem zniesmaczenia w porcelanowej popielniczce. Dwudziestym drugim za to rozpoczynasz ponowny marsz w poszukiwaniu utraconego smaku.

Ona-ja nie pali wcale, za to pije. To już trzeci drink, dzięki któremu w ogóle potrafi słuchać. Bo słuchać nie chce, widać to w jej oczach, w całej postawie — skrzyżowanych rękach, stukaniu długimi paznokciami w szkło, zajęciu miejsca położonego jak najdalej od ciebie. Jej mina świadczy o tym, iż zastanawia się, po co tu właściwie jest. Patrzy przez okno, wyobrażając sobie, że mogłaby być gdzieś indziej.

Zdajesz sobie jednak sprawę, że zależy jej na tobie, inaczej nie

wytrzymałaby nawet jednego drinka. Nim skończyłbyś pierwszą paczkę, zniknęłaby — i to na zawsze. Mówisz jej, że powinna to zrobić, ale dajesz też do zrozumienia, iż jej potrzebujesz.

Jednocześnie nie chcesz, bardzo nie chcesz, aby to trwało. Liczy się tylko koniec, pragniesz zamknąć ten rozdział, tak jak wszystkie poprzednie. Nie chodzi nawet o to, że się znudziłeś, choć to poniekąd prawda. Główną kwestią jest raczej fakt, iż nie potrafisz się do nikogo przywiązać. Nie chcesz dopuścić żadnej osoby. Jesteś tylko ty, twoje przeżycia, zaś świat wokół jawi się jako dopełnienie tego, co chcesz oglądać. Ludzie obok są tym, czego chcesz doświadczyć. Nie mają osobowości, to tylko emocje, których ci brakuje. Wyciągasz po nie rękę, bierzesz, obracasz, a później przechodzisz dalej.

Ona to wie, bo cię zna. Kobieta, która kocha, czyta innych jak otwartą księgę. Nie ma dla niej tajemnic. Karmi się prawdą. Przynajmniej tak to sama widzę.

Odchodzi, zaś ty dopalasz ostatniego papierosa. Gorzki smak starasz się zabić kawą. Orientujesz się, że nie zostało ci nic.

Dokładnie tyle chciałeś mieć.

*

Kawa jest czarna i stara, co czuć w smaku. Wszystko wydaje się stare i pociemniałe. Nie ma tu wielu kolorów, a te, które są, nie potrafią rozjaśnić izby. Nawet lampka daje nikłe światło, jakby na granicy jej żywota. Staruszek mówi, że musi ją wymienić, że nie nadaje się już nawet do czytania.

— Pani poznała już tego chłopaka, prawda? Pogawędziliście sobie parę dni temu? — rzuca odwrócony, zalewając sobie herbatę.

— Czemu pan pyta? Znaczy... Czemu pan dopiero teraz pyta? Przecież musiał pan wiedzieć o tym wcześniej.

— Nie moja sprawa — wyjaśnia. — Próbuję jakoś zagaić, bo pani ostatnio mocno przygaszona. A ja już znam ten stan. Pani się zbliża do końca swojej przygody z wodospadem. Trzeba na to uważać. Pani wybaczy taką bezpośredniość, ale naprawdę nie chcę wyławiać pani zwłok. Tyle tu kobiet widziałem, co się zachowywały podobnie do pani, ale nie pytałem. Ignorowałem. Potem straszny żal był. Lepiej tego unikać.

— Czyli tak naprawdę pan pyta, czy mi jakoś pomóc, tak?

Siada naprzeciwko.

— Jeśli potrzebuje pani czegoś, to proszę mówić.

Milczę przez moment, a potem uśmiecham się nieśmiało.

— Właściwie, to jak pan tu trafił? Dlaczego pan to robi? Przez te wszystkie lata nie kusiło pana, aby wyjechać stąd?

Unosi brwi z zaskoczenia.

— No, skoro to tylko kłopot... — dodaje.

— Nie, nie, skądże! — przerywa. — To zupełnie nie tak. Ja lubię tu być. Owszem, to trudna praca. Bardzo niewdzięczna. Poznałem tylu ludzi, których już nie ma. To boli, tak po ludzku, pani rozumie. Znałem ich tak jak panią, czyli prawie wcale. Ale człowiek się wiąże z ich życiem. W końcu przyjeżdżają tu, aby poznać je dogłębnie. I coś w nim zmienić, coś odzyskać. Nadzieję, zrozumienie, tego typu rzeczy. Nie sposób nie sympatyzować z takimi. Nauczyłem się empatii. Nie wyobrażam sobie innego zajęcia. To mi służy.

— To znaczy? W jaki sposób?

— Bo widzi pani... To jest tak, że ja się niewiele nażyłem. Jestem tu od bardzo dawna i to właściwie wszystko, co w życiu robiłem ważnego. Nie mam nic więcej, ale też nie chcę mieć. Bo to jest ważne, to ma sens. Nie odnalazłbym się chyba w niczym innym. Zresztą proszę na mnie spojrzeć. Czy ja się nadaję do czegoś więcej?

Zanosi się śmiechem, ale nie odwzajemniam jego zadowolenia.

— Dalej nie odpowiedział mi pan na moje pytanie — mówię.

— Droga pani, tutaj nie ja jestem celem. To pani jest. Ja jestem tylko środkiem, pomocnikiem. Nie moją historię chce pani poznać, tylko swoją.

Tym razem ja zanoszę się śmiechem.

— Niech tak będzie — odpowiadam. — Niech tak będzie.

*

Wymykam się z domku. Starzec zasnął, ulegając nocy. Ja nie mogłam spać, nie potrafiłam. W żyłach tętni energia, jakiej dawno nie było. Coś nowego, trucizna innego rodzaju — nakazująca brać jeszcze więcej, korzystać, ile się da. Zakradam się w mroku do wodospadu, by wziąć, co nie jest moje. Kradnę cudze wspomnienia.

Wydają się lepsze niż moje.

Leżąc w łóżku próbowałam przypomnieć sobie twoją twarz, ale rozmywała się, zupełnie jakbym patrzyła na nią przez szybę, po której spływały gęste krople deszczu. Widoczny był ledwie kontur, nieostry obraz. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiłam sobie, że umknęło mi gdzieś twoje imię.

Twarz kobiety, którą byłam niedawno, tej odrzuconej, nie z mojego życia, była za to aż nadto wyraźna.

Próbowałam się rozplakać, próbowałam wymusić na sobie poczucie winy, pretensję, ale to tylko pogarszało sprawę, coraz bardziej rozkładało cię na części pierwsze. Żal również nie pojawił się. Zamiast niego poczułam coś na kształt ulgi. A nawet wdzięczności.

Nie przyjechałam tu po ciebie — wreszcie ostatecznie to zrozumiałam. Opiekun miał rację. To ja jestem celem.

Nie chcę już o tobie pamiętać. Nie chcę wspominać naszej córki. Wy byliście, ja jestem. Ja chcę wciąż być.

Chowam się w mroku, znajdując punkt za krzewami. Widać stąd całe jezioro, cały wodospad. I jego siedzącego na brzegu, rwącego włosy z głowy.

Kiwa się na boki, do przodu i w tył, jak dziecko z autyzmem, jak skrzywdzone, niespokojne zwierzę. Wyczekuje, mruczy chyba coś pod nosem — mantrę, modlitwę o wizję. Wodospad nie jest tej nocy dla niego łaskawy. Nie pokazuje mu nic albo zbyt wiele.

Nie wiem, dlaczego zaczęłam widzieć jego życie. Jednak z jego oczu świat wygląda inaczej. Jest łagodniejszy, choć przecież tak samo gorzki i trudny. Ale nie jest mój. To najważniejsze.

Chłód nocy orzeźwia mnie zupełnie i nie jestem w stanie już zasnąć. Obserwuję go długi czas, aż słońce pojawia się nad horyzontem. Białe światło odbija się w wodzie, ale omija go, pozostawiając w ciemności. Nawet gdy wstaje i odchodzi, idzie ścieżką zaciemnioną, bez sensu, bez nadziei, bez wspomnień, które należą już do mnie.

*

Idziesz za nią-mną. Wszystko skończone, ale nie potrafisz tego zostawić. Dalej tym żyjesz, choć w zupełnie inny sposób. Trwa to już na twoich tylko zasadach, jej-mnie nie ma już w równaniu. Wszystko zależy od ciebie.

Spływa na mnie ta wizja raptownie, zaraz po krótkim ledwie momencie wyczekiwania. Znow widzę oczami młodego mężczyzny, znow zawłaszczam sobie jego wspomnienia.

Znow czuję się dobrze. Z dnia na dzień coraz lepiej.

Jest w tobie ciekawość prawdziwie niezaspokojona. Nakazuje ci ona dążyć do komplikacji, wpadać w kłopoty, kreować chaos. Nie interesują cię ludzie, tylko emocje. Jedynie one coś znaczą, tylko dla nich żyjesz. Karmisz się nimi wszystkimi, cieszy cię jakiegokolwiek uczucie — miłość, przyjaźń, wściekłość, nienawiść, obojętność.

Idziesz za nią, by poznać w sobie coś, o czym nie zdawałeś sobie sprawy. Odkrywasz nieznaną ład. Pozwoliłeś jej odejść, ale niezbyt daleko. Odtrąciłeś ją, by mieć bliżej siebie, ale tak, aby nie miała już na nic wpływu. Podziwiasz z daleka, zza szyby kawiarni, zza ciemnych okularów, zza rogu — tak, aby nie zostać dostrzeżonym. Śledzisz.

Teraz dopiero cię nie nudzi, teraz dopiero jej pragniesz całym sobą. Przywiązanie, jakim cię zaczynała obdarzać, szybko straciło swój smak, zaś namiętność przygasała tak, jak zwykła to czynić. Jedno okazało się zbyt intensywne, drugie za mało. Na dodatek musiałeś się tym z nią dzielić. Uczuć nie starczało dla dwójki ludzi.

Nie lubisz się dzielić. Chcesz mieć wszystko dla siebie.

Jej życie jest ludzako podobne do każdego innego. Toczy się swoim rytmem, wypala się z minuty na minutę nie prowadząc do żadnego spektakularnego końca. Jest warte tyle, co nic.

Znowuż twoje również nie posiada wielkiego znaczenia i to pomimo tego, że jesteś nietuzinkowy. Rzadko kto odtrąca innych dla własnych korzyści. Ludzie nauczyli się żyć ze sobą właśnie z tego powodu. Jesteś inny. Jesteś odmieńcem. I zdajesz sobie sprawę, że skończysz tak samo bez znaczenia, jak pozostali. To cię dobija, niszczy od środka.

Chciałbyś, aby to, co robisz, miało sens.

To trwa cały dzień. Jesteś wszędzie gdzie ona, robiąc to samo, bawiąc się w jej świat. Zakupy, kawiarnia, spacer, spotkanie. Dziś akurat nie pracuje, ma chaotyczny grafik, niestandardowe godziny pracy, szarpane tygodnie przecinane telefonicznymi alarmami, jak przystało na korporacyjną mrówkę. Nigdy nie wie, czy za pięć minut nie będzie musiała porzucić wszystkiego i zjawić się na miejscu, bo ktoś wymyślił sobie, że jest niezbędna. Korzysta więc, ile może, czerpie garściami z chwili wolnego. W jej oczach wypatrujesz stresu, zwątpienia i wiecznego wyczekiwania. Uśmiech przykleja sobie do twarzy, by oszukać samą siebie. Nie jest szczęśliwa. Ma bladą skórę i nerwowe tiki, których obecność wyławiasz dopiero teraz. Wcześniej nie udało ci się ich zaobserwować. Albo hamowała się, albo naprawdę przy tobie potrafiła znaleźć spokój, którego tak pragnie.

Tobie jednak nie zależy na jej spokoju. Chcesz oglądać ją w stanie czystym, a jednak przez szybę. Tworzysz własne safari.

A ja, śledząc ciebie dzięki wizjom wodospadu, tworzę swoje.

*

Kolejnej nocy nie spotykam nikogo przy wodospadzie. Musiałeś zrezygnować, udać się na spoczynek, pomyśleć chyba, że to dobrze ci zrobi. Skoro wczoraj nic ci to nie dało, postanawiasz zmienić rutynę.

Korzystam z tego bezwzględnie, pozostawiając śpiącego starca w chatce. Opiekun nie wygląda dobrze. Wydaje mi się, że postarzał się o kilka lat od czasu mojego przybycia. Z dnia na dzień zasypia coraz szybciej, brak w nim chęci i energii. Tego wieczoru nawet nie starał się mnie zagadywać.

Wodospad wraca do momentu, w którym był poprzednio — do polowania. Do śledzenia jej-mnie i połykania przez ciebie cudzego życia. Muszę przyznać, że rozumiem cel, ale nie pojmuję intencji. Czemu grasz z innymi? Czemu chowasz się, zamiast wyjść do nich? Jaki sekret starasz się ukryć?

Jest późno, więc dziewczyna wraca do domu. Mieszka w niewielkim domku, połówce bliźniaka gdzieś na skraju Centrum. Ulica jest pusta, wszyscy pochowani w czterech ścianach, rodziny z dziećmi, ludzie ceniący prywatność i spokój. Stojąc naprzeciwko czujesz się jak ruchomy cel na środku strzelnicy. Uciekasz. Nie chcesz, aby cię zauważono.

Parę godzin miotasz się po mieście, odwiedzając bary i lokale. Pijesz

kilka drinków, z kimś rozmawiasz. Wszystko jednak mija jak we mgle, nie potrafisz się na niczym skupić. Rozedrganie myśli, dreszcz nieokreślonego pragnienia narasta. Nie wiesz, dlaczego. Nigdy wcześniej tego nie czułeś. Postanawiasz wrócić.

Światła w jej oknach już się nie palą, tak jak w większości okolicznych domów. Ptactwo gra nocną melodię, niedługo spadnie deszcz. W powietrzu wyczuwalna jest wilgoć i duchota. To prawdziwie upalne, ciężkie lato.

Przeskakujesz bramę i rozglądasz się, czy na podwórzu nie ma psa. Nie przyszło ci do głowy, aby sprawdzić wcześniej. Stoisz przed drzwiami dłużej czas, z ręką wyciągniętą do góry, gotową, by zapukać. Coś jednak cię powstrzymuje.

Wreszcie zamiast pukać, pociągasz za klamkę.

Otwarte.

Kto nie zamyka na noc drzwi w Mieście?

Korytarz jest wąski, zaś twoje kroki miękkie. Czujesz, jakby ściany zbliżały się do ciebie. W płucach pojawia się panika, bierzesz coraz płytsze oddechy, krew gotuje się w żyłach. Nie wiesz, co robisz. Instynktownie idziesz dalej, nie wiedząc, ku czemu właściwie.

Ona śpi na piętrze. Wiesz to, bo ci mówiła. Nigdy tu nie byłeś, choć zapraszała wielokrotnie. Dopiero teraz, po wszystkim, kiedy nie jesteś tu mile widziany, odważyłeś się przyjść. Wtargnięcie? Włamanie?

Napaść?

Sypialnia skąpana jest w nikłym świetle lampki nocnej. Ona śpi przy włączonym świetle, jak dziecko. Krzywisz się z niesmakiem. Nie tego się spodziewałeś.

W gruncie rzeczy nie wiesz, czego się spodziewałeś.

Wciąż nie wiesz, czego się spodziewać.

Podchodzisz bliżej, starając się stąpać bezszelestnie. Cały trzęsiesz się z emocji. Odwracasz się, by sprawdzić, czy nikogo za tobą nie ma, czy nikt nie zorientował się, że wszedłeś. Czy zostawiłeś otwarte drzwi? Nie pamiętasz.

I wtedy podłoga skrzypi pod nogami.

Ona budzi się i przez moment nie wie jeszcze, czy to jawa, czy sen. Nie wie, czy jest zaskoczona.

Bierzesz jej niepewność pełną dłonią.

Już jej nie wypuścisz.

*

Chatka stoi pusta. Starzec udał się na polowanie. Widziałam go jakąś godzinę wcześniej, gdy wychodziłam z zabudowania, w którym znajduje się moja cela. Poszedł wysoko w góry, w kierunku ośnieżonego, samotnego szczytu, który niby zamek warowny góruje nad wszystkim poniżej. Wędką, oszczep i nóż przypięty do pasa skórzanych spodni —

dzikus w dziczy na skraju świata.

Krażę po okolicy, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca. Czuję, że to moje ostatnie chwile tutaj, a nie znam nic oprócz wodospadu. Idę więc wzdłuż granicy potężnego lasu, obserwując.

Nie ma tu nic. Tylko surowa natura skrywająca tysiące tajemnic, których i tak nie zrozumieć. Brak nawet ptactwa; niezmacone niebo i samotne słońce, rozświetlające dzień. Szum drzew i opadającej do sporego jeziora wody — to jedyne odgłosy.

To coś zupełnie innego niż Miasto — najbardziej pierwotny świat, pełen chaosu i niepojętego uroku. Pachnący jesienną zgnilizną, orzeźwiający wysokogórskim chłodem. Można spędzić tu całe lata i nie zobaczyć niczego, bo tak naprawdę wszystko jest do siebie podobne.

W dni takie jak ten tęsknię za utraconym życiem. Nie za tobą, ale całą resztą. Za tymi wszystkimi knajpkami, w których można się zatracić. Za kinem, wielkim, bezpłciowym, szpitalnym multipleksem. Wspominam wysokie budynki, gdzie ludzie pracują jak mrówki oraz małe biura udające przytulne domy. Chcę znowu wrócić do wszechobecnego fałszu, asertywnego uśmiechu, czy też dobrodusznej ignorancji. Na myśl o ulicznym tłumie przechodzi mnie dreszcz emocji — ja jedna pośród tysięcy dusz, tak blisko, a tak daleko zarazem. Obok mnie, po chodniku, przechodzą ludzie — lepsi i gorsi, wysocy i niscy, znaczący i nieważni, wszyscy: anonimowi. Bo nikt nie ma tam twarzy, każdy jest tylko obiektem zabierającym potrzebną przestrzeń. Każdy człowiek to ruchoma przeszkoda. Chciałabym dać porwać się temu wirowi beznamietności. Byłaby to dla mnie dobra odmiana.

Jednak coś jeszcze mnie tu trzyma. Nie twoja twarz, nie twarz małej — tych już nie pamiętam. Zatraciłam się we wspomnieniach mężczyzny. Jego życie wypchnęło moje. Nie zakładałam tego, nie planowałam, ale dobrze, że tak się stało. Czuję jednak, że to nie wszystko, że jest jeszcze więcej. Głód cudzych wizji jest namacalny oraz niepokojący. Taśma nie mojej rzeczywistości urwała się wczoraj, nie dobiegła końca. Nie mogę na to pozwolić. Muszę wiedzieć, co jest dalej.

Muszę zobaczyć, do czego to prowadzi. Bez tego moje nowe życie nie będzie pełne.

Zawracam i dochodzę do chatki opiekuna. Jest otwarta, więc przekraczam próg. Od tych kilku dni nic się tu nie zmieniło, może nieco więcej kurzu przykryło półki. Błoto na podłodze, ślady myśliwskich butów staruszka — kto by o to miał dbać? W chaosie przyrody wszystko jest uporządkowane według starej zasady „tak musi być”.

*

Ty i ja — dwoje ludzi złączeni przekorą losu. Nie ma między nami miłości, nie ma między nami nienawiści, jest tylko przeznaczenie, które nie pozwoli nam rozwiązać więzów, którymi nas splotło. Dwie

marionetki, za których sznurki pociąga wodospad. Tak jakby nasze życia były powodem jego istnienia, jakby tylko dzięki nam mógł uzasadnić siebie. Wodospad jest bardziej ludzki niż my sami — jest okrutny i zdradziecki, manipuluje czasem i przestrzenią.

Jesteśmy sensem tego miejsca, a ono sensem nas samych.

Obiecałam sobie, że nie odejdę, dopóki nie poznam całej prawdy o tobie. Z początku chciałam po prostu ukraść ci życie. Wyrzucić własne wspomnienia, zamienić na twoje. Myślałam, że nie ma nic gorszego od moich własnych doświadczeń. Co może być bardziej okrutne, niż utrata męża i córki?

Morderstwo. Bardziej okrutne jest morderstwo.

Wodospad pokazuje jej-moją twarz. Sina, zawieszona na wieki w olbrzymim zdziwieniu. Nieruchoma, piękna na zawsze. Nawet nie walczyła zbyt mocno. Nie dałaby rady, ale mogłaby próbować. Lepiej by wtedy smakowało. Chociaż i tak było wspaniale. Zabrałeś jej ostatnie emocje, byłeś przy końcu, zostałeś świadkiem jej śmierci.

Z błogością oblizujesz palce z jej potu, a ja odwracam głowę, zniesmaczona.

I wtedy wodospad milknie. Znikają wizje, znikają nawet odgłosy. Nie słyszę szumu, nie widzę nic.

Czuję za to ucisk na szyi.

W tej chwili rozumiem wszystko.

Czekałeś na mnie. Wpędziłeś w pułapkę.

To nie ja kradłam twoje życie i twoje wspomnienia. To ty zabierałeś moje. Planowałeś to od początku. Nie wpadliśmy na siebie przypadkowo. Pozwoliłeś mi myśleć, że wpadłam na genialny plan, że znalazłam idealne wyjście ze swojego mroku. Tymczasem wstąpiłam wprost w twój własny.

Starzec mówił, że jego dłonie wielokrotnie wyławiały ciała innych ludzi z jeziora pod wodospadem.

Wodospadem wdów.

Wodospadem morderców.

Nie opieram się. Zastygam bez walki, szczęśliwa, że wreszcie mogłam zrozumieć. Twoje ręce na mojej szyi.

Głowa pod wodą.

To refren twojego życia.

*październik-listopad 2009, styczeń-luty 2015
Ostrołęka — Olsztyn — Warszawa*

Trzy życzenia

1. DEFINICJA

Życzenie — (niem. *der Wunsch*) — pojęcie wywodzące się z psychoanalizy, odnosi się do pobudki psychicznej, będącej przyczyną różnorodnych aktów, mających podłoże psychiczno-emocjonalne (np. działania, czynności pomyłkowe, objawy nerwicowe, marzenia senne).

2. OCZEKIWANIE

Już dniało, kiedy zobaczył śmierć w żarze papierosa. Tańczyła wraz z diabłami w oparach tytoniu, uśmiechając się szyderczo. Jej szare zęby lśniły w piekle nikotyny. Nie mógł oderwać wzroku od tego tańca. Zachwycał go siłą i prostotą. Wtedy zrozumiał, że kocha ją ponad wszystko, tak mocno, że jest w stanie zabić, by tylko ją zadowolić.

Z rozżaleniem dopalił do końca i zdusił miniaturowe inferno w popielniczce. Miał jeszcze chwilę, by ochłonać. Tych kilka zbawiennych minut potrzebnych na przemycie wodą twarzy, przejście kilkunastu metrów do łóżka i zamknięcie piekących z niewyspania oczu.

Kilka minut potrzebnych jego żonie na pożegnanie się z kochankiem i ciche otwarcie wejściowych drzwi domu. Raptem parę chwil, aby i ona położyła się obok niego, jeszcze ciepła od przygodnej miłości. By odetchnęła głęboko i odwróciła się do niego plecami, by również w końcu zasnąć.

Pomyślał, że jedyne, co ich teraz łączy, to silne pragnienie snu.

3. POPIÓŁ I DIABEŁ

Z zamyślenia wyrwał go żar papierosa. Jeszcze moment, a oparzyłby palce.

— Adam! — usłyszał.

Zamrugał oczami i zgasił niedopałek w popielniczce. Potarł zmęczoną twarz dłońmi. Chwilę potem wrócił do rzeczywistości.

— Przepraszam, zamyśliłem się — powiedział.

— Nic się nie stało, każdy tak ma.

Sięgnął po piwo i kolejnego papierosa. Bez tego czuł się jak bez ręki. Potrzebował czegoś, by zająć nerwowo drżącą dłoń. Właściwie nie musiał palić, wystarczyłoby tylko trzymać cokolwiek, jednak jego palce były wręcz stworzone do trzymania papierosa, a płuca z utęsknieniem oczekiwały kolejnych chmur dymu.

Zapalił i spojrzął na Popioła. Popiół uśmiechał się swoimi trzydziestoletnimi czerwono-szarymi ustami, jego oczy tliły się wątląm

plamieniem wesołości, znamiennej dla dekadentów, a na łysej głowie tańczyły wszystkie barwy stroboskopu.

— Też tak masz? — spytał i od razu zganił się w myślach za to pytanie. Odpowiedź była zbyt oczywista nawet jak dla niego.

— Mam — odparł rozmówca zgodnie z oczekiwaniami. Oczywistości stało się zadość. — Rzadko, ale jednak. Zwykle przed snem.

Adam spojrział na towarzysza przyjaznym wzrokiem. Pokiwał głową ze zrozumieniem i dmuchnął dymem. Cienka, siwo-niebieska smuga uleciała pod sufit.

— Jest taka legenda — podjął po chwili. — Matka mi ją opowiadała.

— Matka?

— Tak, matka.

— Myślałem, że niczego cię w życiu nie nauczyła.

— Co nie znaczy, że nie próbowała. O kilku rzeczach zdążyła mi powiedzieć. Oczywiście, jeśli tylko chciałem słuchać.

— Teraz ja zamieniam się w słuch.

— Powiedziała, że gdy patrzysz jakiś czas w jeden punkt, możesz zobaczyć diabła.

Popiół stuknął palcem o dno kufla i podjął:

— Nietzsche się kłania... „Gdy patrzysz w otchłań, ona również patrzy w ciebie”.

— Nie, to nie tak — Adam przerwał. — To nie otchłań, to coś innego. Wpatrujesz się bezustannie w jeden punkt, zarazem widząc i nie widząc. Jakbyś wpadał w trans. Z początku trudno ci się skupić, ale potem już nie możesz oderwać wzroku i robisz to nieświadomie. Nie myślisz o niczym. Po prostu patrzysz, nie zdając sobie z tego sprawy. Wokół wszystko może się walić, ty tego nie zauważysz. Istniejesz tylko ty i ten punkt, choć tak naprawdę ciebie już nie ma. Diabeł chwyta twoje spojrzenie i przestajesz widzieć cokolwiek...

Popiół wychylił piwo do końca i spojrział z niedowierzaniem. Całe jego ciało mówiło, że nie pojmuje, ale starał się to maskować. Kiwnął zachęcająco dłonią, opierając łokcie na blacie stołu.

— Patrzysz na tyle długo, żeby zacząć coś widzieć, ale i tak nie zdążysz pojąć wszystkiego — rozpoczął na nowo. — To droga nie dla ludzkich oczu, tunel zamknięty na amen, zapieczętowany sześcioma kłódkami, a ty jesteś tylko włamywaczem.

Przerwał, wbijając wzrok w plecy jednej z dziewczyn siedzących nieopodal. Jego twarz była smutna, a oczy pijane. W końcu podjął na nowo:

— Nagle zdajesz sobie sprawę, że patrzyłeś prosto w swoją śmierć. Jedynie najwytrwalsi, najmocniej trzymający się życia, mogą wyjść z tego cało. Reszcie diabeł wyrwie wzrok i porwie duszę. Trafiają prosto do piekła.

Popiół spojrział na Adama z respektem. Znali się od dawna, jednak właściwie nigdy ze sobą nie rozmawiali. Pili lub ćpali, czasem jeden mówił do drugiego. Nie było w tym żadnego sensu, trawili czas tak, jak większość ludzi go marnuje, bo dzięki temu szybciej mija. Ich znajomość nigdy nie znalazła się na etapie przyjaźni, choć byli ze sobą blisko. Jednak to i tak dużo — ludzie tacy jak oni nie mają przyjaciół. Nie mogą na nikim polegać, ani w nikim pokładać nadziei, chociaż mają pełno złudzeń.

— Nie słyszałem tej historii — odparł Popiół. — Coś w tym jest, sam nie wiem... Zdarzało się i mi, ale czy widziałem diabła? Wątpię.

— Matka mówiła, że w środku tego wszystkiego jest tak czarno... Potem przychodzi silny ból i strach. Uświadamiasz sobie, że tam, gdzie patrzyłeś, chowa się śmierć. A ty doznajesz lęku przed nią, jakby nagle ciebie dotknęła, jakbyś w końcu zdał sobie sprawę z jej istnienia.

— Jak zmarła twoja matka?

— We śnie. Odeszła spokojnie, zbyt spokojnie jak na kogoś takiego, jak ona.

4. ŁUNA CMENTARNA

Jak zwykle o tej porze nad cmentarzem unosiła się łuna. Sino-niebieska, z lekkim odcieniem czerwonego i zielonego — wielobarwna jak tęcza, pastelowa i szara jak śpiące pod księżycowym okiem miasto. Było ją widać z odległości kilku kilometrów, choć najbardziej imponująco wyglądała z bliska, tuż zza cmentarnej bramy, na ulicy Szwedzkiej, pod którą spoczywało snem wojownika sto ciał zabitych przez mieszkańców żołnierzy Karola X Gustawa.

Mówiono, że łuna spała przez dzień, a wieczorem zaczynała nieśmiało się budzić. Gdy słońce zachodziło, wpełzała powoli na niebo, rozświetlając groby. Do godziny trzeciej, kiedy spuchnięta do granic możliwości roztaczała się z jednej strony od rzeki, aż po pobliską szkołę z drugiej, połykała położony pośrodku cmentarz. Potem stopniowo malała i bladła, dopóki nie zniknęła wraz z narodzinami następnego dnia.

Wspominano także, że łuna powstawała w wyniku kumulacji światła w dalszej części miasta, że był to zwykły odbłask nocnego życia Ostrołęki. Jednak i tak ludzie wiedzieli swoje — łuna to światło dusz zmarłych, którzy w ten sposób mogą oglądać żyjących bliskich.

Adam szedł główną alejką — do krypty znajdującej się w centralnej części nekropolii. Potem chwiejnym krokiem skręcił w lewo, gdzie o mały włos nie przewrócił się na grób tymczasowy, w którym chowano zwłoki, dla których nie znaleziono jeszcze odpowiedniego miejsca. Wyobraził sobie, że sam kiedyś będzie tu leżał, dopóki ktoś sobie o nim nie przypomni i nie przerzuci trumny do innego dołu.

Minął kilka płyt i krzyży, w cudowny sposób nie potykając się o miniaturowe ławeczki. Wreszcie stanął u celu i wyczerpany szalejącym w głowie alkoholem, przykucnął na zimnej ziemi.

— Cześć mamó — powiedział.

Zdjęcie matki przedstawiało kobietę, której nie miał prawa pamiętać. Fotografię zrobiono jeszcze przed jego narodzinami, zanim poznała jego ojca i zanim wszystko zdążyło pogrążyć się w chaosie rodzinnego życia.

— Przyszędłem — dodał.

Poczuł, że narastająca bezradność miesza się z piwem. Był jednym z tych ludzi, którzy piją wesoło, by wreszcie upić się na smutno. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyjemna rozmowa z kimś takim zamieni się w przykrą opowieść o jego problemach. Teraz Adam, siedząc na ziemi skrywającej setki ciał, upadając w alkoholowy sen, pomyślał o sobie i swoim życiu. Nadciągający z okrucieństwem świadomości smutek był jak szpilka, która przekłuła balon. Powietrze uleciało i Adam zrozumiał, że nie ma już nic, nawet matki, której tak nienawidził. Cmentarz po raz kolejny ujrzał łyzy.

Od śmierci rodzicielki minęło pięć lat, jednak Adam dalej nie potrafił się przemóc i powiedzieć tego, co zawsze pragnął wyznać. Obiecał sobie, że kiedyś w końcu to zrobi, ale nie miał odwagi. Nie mógł wyrzec ani jednego złego słowa, choć nie powstrzymywała go teraz żadna dziwna uległość, jaką każdy syn ma wobec matki. W pijackich omamach słyszał jej krzyk. Brzmiał tak mocno jak dawniej, nawet potężniej, bo z głębi wykrzywiającej wszystko pamięci. Miał siłę tysiąca trąb, które powaliły mury Jerycha.

— Już dobrze, mamó. Nie krzycz tylko, proszę...

Wciąż w głębi serca chował jej matczyną gorycz i rozczarowanie synem. Jej twarz, pełna niewypowiedzianych wyrzutów i pretensji, a jednak tak gładka i miła, wyłaniała się z mgły wspomnień. Pamiętał, jak przyłapała go na pierwszym kłamstwie, pierwszych wagarach, pierwszym papierosie, pierwszym piwie, pierwszym razie z dziewczyną, pierwszym śnie w rynsztoku, pierwszej kradzieży z jej portmonetki, pierwszej bójce w pubie, pierwszej próbie samobójczej. Czuł się, jakby przyłapała go na wszystkim, na czym tylko mogła. Jednocześnie był wdzięczny, bo gdyby nie ona, żaden z tych uczynków nie smakowałby dziś tak wspaniale słodko.

Umarła, odeszła, jakby na złość, przedwcześnie. Nie zdążyła zobaczyć jak jej syn wreszcie zakochuje się i jak bierze ślub, jak kończy studia zaoczne i jak oddaje kilkanaście miesięcy ojczyźnie służąc w wojsku. Nie była przy pierwszych kłótniach z jego żoną, nie mogła wiedzieć jak stopniowo rozpada się ich małżeństwo. Nie nagabywała o wnuki, nie poganiała do pracy, nie kazała dbać o podupadające zdrowie. Adam przez dwadzieścia lat przyzwyczyił się, że wszystkie swoje porażki siłą rzeczy musi dzielić z tą starą, ponurą kobietą. Kiedy

wreszcie jej zabrakło, jego życiowe przegrane straciły sens — nie było nikogo, kto by z nich szydził. Potrzebował osoby, która napawała się jego bólem, uzależnił się od tego — zrozumiał to za późno.

Musiało minąć ćwierć wieku zanim pojął, jak bardzo ją kochał.

Wiedział, że wraz z jej śmiercią, powinno skończyć się jego życie. Te jednak trwało nadal ze złośliwości i przekory losu, który zabrał gospodarza, a zostawił intruza. Nie potrafił się z tym pogodzić.

— Idę, mam — powiedział, gdy wyschła ostatnia, pijacka łza.

I zamknął oczy, aby spać do rana na zimnej ziemi.

5. DEFINICJA II

Iluzja — nieprawdziwe wrażenie, błędny zapis zmysłów. stanowiący fałszywe odczucie zakodowane przez mózg w postaci faktu. W optyce: błędna interpretacja obrazu pod wpływem kontrastu, cieni bądź odpowiedniego doboru kolorów, które w sposób automatyczny wprowadzają mózg w błędny tok myślenia. Wrażenie iluzji potęgowane jest wiarą w zmysły, które zazwyczaj pomagają w procesie postrzegania.

6. OCZEKIWANIE II

Wróciła dziś wcześniej niż zwykle. Noc była blado-czarna, jeszcze w pełni, choć powoli i z onieśmieleniem szykowała się, by ustąpić pola świtowi. Wiola każdym mięśniem twarzy starała się ukryć rozczarowanie i wściekłość. Wyglądała jak dziecko, które wreszcie poznało gorzką prawdę o świecie i nagle stało się dorosłe. Adam pomyślał, że jego żona w końcu przypomina samą siebie — wiecznie zdziwioną i oburzoną kobietę, która ledwo radzi sobie ze wszystkim. To, że znalazła kochanka, było według niego co najmniej przedziwnym trafem losu, łutem szczęścia. Nie to, żeby nie była atrakcyjna — na swój sposób wręcz przyciągała mężczyzn, jej uroda potrafiła urzekać — jednak bardzo traciła przy bliższym kontakcie. Ludzie pełni otwartości szybko się przed nią zamykali. Rozmowni milkli. Przyjaznych zrażała do siebie wiecznym niezadowoleniem. Przychodzili i odchodzili, byle dalej. Miała nijaki charakter, jako kobieta — pusta, jako żona — nudna, jako kochanka — nieciekawa.

Adam nie wiedział, co za desperat może chcieć kogoś takiego jak ona. Oprócz niego oczywiście.

Chciwie czekał na rozpaloną rozgoryczeniem żonę, by wreszcie móc udowodnić swoją wartość, przypomnieć jej, że mężczyzna, którym powinna się interesować, jest tuż obok, ale tej nocy nie położyła się u jego boku. Nie zasnął aż do rana, nie wiedząc, czy cieszyć się, czy złościć.

W końcu, gdy wzeszło słońce, zasnął zmęczony tą niepewnością.

7. POPIÓŁ I DIABEŁ II

— Może to twoja szansa — zagaił Popiół po dłuższym milczeniu. — Masz okazję, żeby wszystko poukładać tak, jak trzeba.

Popiół prezentował się dziś inaczej — bardziej mizernie niż zwykle. Jego widok przywodził na myśl rzucony na ziemię, przydeptany niedokładnie dogasający niedopałek. Jeszcze tliło się w nim życie, ale nie było ognia — tylko nędzny żar, który nie rozpali się na nowo.

— Miałbym, gdyby przyszła do mnie — odparł Adam.

— Głupi jesteś. Myślisz, że stanie przed tobą i zrzuci ubranie ot tak, bez słowa?

— Czemu nie? Przed tamtym pewnie tak robi.

Spojrzał na majaczącą w oddali Narew. Z wału powodziowego wyglądała niegroźnie, jak mały strumyk płynący w raz a dobrze wyżłobionej rynnie. Wiedział jednak, że to pozory. Kiedy tylko ociepli się i przyjdą roztopy, rzecze puszcza hamulce i podtopi całe Błonie. Ławki, toalety, restauracja o wdzięcznej i znaczącej nazwie „Titanic”, budka ratownika, garaże dla małych łódek, roślinność i Bóg jeden wie, co jeszcze — utonie w mętnych, brudnych wodach. Gdyby Adam za miesiąc usiadł w miejscu, w którym teraz siedzi, mógłby moczyć stopy ciesząc się chłodem w upalny, wiosenny dzień.

— Źle ją oceniasz — burknął Popiół. — To dobra dziewczyna.

— Tak, tak... Jakbyś zareagował, gdyby twoja żona puszczała się z innym? Chciałbyś w ogóle na nią patrzeć?

— Nie, dlatego nie mam nikogo na stałe.

— A ja mam i chciałbym być szczęśliwy. Dobrze byłoby, gdyby wybór, którego dokonałem, był słuszny.

— Brachu... Wszystko co robisz, jest jak patrzenie w ten mętny punkt, o którym opowiadała ci matka. Na końcu i tak jest ból i zło.

Narew zaszumiała, a okoliczne bezpańskie psy odwróciły zaniepokojone łby w jej stronę. Dzieci pobiegły do swoich matek w nagłym przypływie nieznanej wcześniej bezzasadnej trwogi, a któryś nastolatek zachłystnął się winem. Adam uśmiechnął się ironicznie i przepił do przyjaciela:

— Zaprawdę, jesteś wielkim filozofem, stary.

— Nie kpij — Popiół odwzajemnił uśmiech. — Schlejmy się.

— Tak dla odmiany, jakbyśmy niczego innego nie robili, nie?

— Dokładnie tak.

Adam wyjął papierosa i pomyślał, że chciałby utopić się w tej rzece i zabrać ze sobą w głębiny widok leżącego obok cmentarza, na którym spoczywała jego matka. Tymczasem podniósł puszkę piwa i powiódł wzrokiem po menażerii osobowości, jaka wykwitła na plaży. Dziewczyny w strojach we wszystkich możliwych barwach: zielone, czerwone, czarne, brązowe, w odcieniach trudnych do wyłowienia przez męskie

oko, pozostawiających niepokój poznawczy, wreszcie kobiety o kolorze skóry, zdrowe pięknem, piękne zdrowiem. Masa mężczyzn krążących wokół reszty nerwowo, jak w rui. Plaża była jak jaskinia, gdzie pierwotni ludzie w prymitywny sposób urządzali dzikie gody. Archaiczne amory troglodytów — teatr prehistoryczny obecny i dzisiaj. Prosta wiosna w małym mieście.

Przełknął i poczuł się jak widz, który za bilet zapłacił swoją własną żoną.

8. ŁUNA CMENTARNA II

Wziął aparat i dwa litry wody na kaca zamiast statywu. Wiedział, że będzie żałować, bo jego ręce, nieprzyzwyczajone do trzymania stałej pozycji choćby przez sekundę, utrudnią robienie zdjęć. Stawiając jednak na jednej szali mdłości, ból głowy, suchy jak wiór język i niesmak w ustach oraz dobre ujęcia na drugiej, postanowił nie mieć wyrzutów sumienia i wybrać dobro własne.

W końcu teraz można sprzedać do gazet cokolwiek, a i tak zapłacać krocie.

Najpierw sfotografował bramę — niepozorne wejście, za ledwie nieśmiały murek oraz zardzewiałe pręty odgradzające umarłych od żywych. Jediną atrakcją były krzyże celtyckie wymalowane białym sprayem. Już widział tytuły na pierwszej stronie: „Nazizm odrodzony”, „Wandale niszczą cmentarze”, „Hitler śmieje się zza grobu”, „Tak dbamy o swoje! ”.

Potem przeskoczył na drugą stronę i upił duży łyk wody. Chciał zakląć z ulgi, ale tylko ugryzł się w język, bo uznał, że nie wypada.

Drugą ofiarą obiektywu był grób pilota — ułamane skrzydło i mizerne, pierwsze kwiaty tej wiosny. Ziemia pod płytą rozkopana, jakby psy chciały dostać się do kości, o ile były jakieś... Pomyślał o gazetach: „Lotnik zmartwychwstał! ”, „Kolejna akcja wandalii”, „Naziści nie znają świętości”.

Rozluźnił się. Nie lubił zarabiać pieniędzy, ale zawsze chciał je mieć. Praca fotografa, wolnego strzelca, była jedną z niewielu alternatyw dla Adama — w gruncie rzeczy łatwa, niewymagająca przesadnych umiejętności. Wspomnił czasy, kiedy unosiła go jeszcze ambicja i oczekiwał od siebie coraz więcej. Skończyło się to wystawą w ostrołęckiej Galerii oraz mnóstwem niepocholebnych recenzji. Jego zdjęcia przedstawiające chuliganów na tle blokowisk osiedla Pekin były według krytyków za ledwie odbiciami życia w krzywym zwierciadle. Według nich nie odwzorowały rzeczywistości w sposób należyty i czuć było w nich rękę amatora, który śni o wielkości.

Od tamtej pory przestał się starać, co zaowocowało kontaktami z większością brukowców w kraju. Wtedy też przestał narzekać i

podziękował recenzentom za to, że pokazali mu, gdzie tkwi prawdziwy świat — wśród prawdziwych pieniędzy płynących wartkim potokiem z kolorowych stron pełnych nonsensu.

Przeszedł do kapliczki. Wydała mu się nieciekawa oraz nudna — w świetle księżycy brudna i mała — jednak i jej zrobił zdjęcie. Spróbował przyporządkować odpowiednią nazwę dla fotografii, ale nie potrafił znaleźć niczego dobrego. Wzruszył ramionami i upił łyk. Pieprzyć tytuły — pomyślał.

Kolejny grób, kolejny kadr. Szedł cmentarnymi uliczkami fotografując bezmyślnie wszystko, co mogło być sfotografowane. Chłód nocy wdierał się pod ubranie zamrażając nieznośnego kaca w głębi rozpalonego ciała. Adam nie miał siły myśleć, robił wszystko rutynowo, starając się dojść do siebie. Problemy zasnęły mocnym snem gdzieś w duszy, ukryte przed nieznośną świadomością.

Grób matki majaczył w oddali, oświetlony blaskiem gwiazd. Nie chciał znów do niego wracać, nie miał zamiaru przypominać sobie dawnych chwil. Pozostał głuchy na marudne głosy przyzwoitości, które nakazywały mu podejść i pomodlić się o duszę nieboszczki. Dawno się nie modlił, odpowiednie słowa połknęła niepamięć.

Spojrzał w niebo i dostrzegł łunę. Była tu tak jak każdej nocy, zimna i niezmienna. Podglądała go niezliczoną ilością świetlistych oczu, zawieszona jednocześnie nisko i wysoko. Wydawało się, że wystarczy podnieść rękę, by koniuszkami palców dotknąć jej, ale dalej pozostawała nieuchwytna, daleka i obca. Dumna, obserwowała wszystko cicho chichocząc, rozbawiona nieporadnością wpatrzonych w nią ludzi.

Wzniósł aparat i spojrzał w małe okienko. Nic, tylko czerń gdzieś tam przetykana skrzącymi się gwiazdami. Przypominały małe łąby rozpalonych zapalek porzucanych na blacie mahoniowego stołu. Wyjął paczkę papierosów z kieszeni bluzy. Dym smakował kwaśno, szczypiąc język i podniebienie. Zmęczonymi płucami wstrząsnął kaszel.

Nacisnął spust migawki, po czym zdębiał. Odsunął celownik, by spojrzeć na własne oczy. Niebo, bezchmurne niebo z wielką mozaiką kolorów, których nigdy nie widać na zdjęciach. Przestrzeń kumulująca wszystkie światła miasta, naturalna, bo niezmienna od lat, wisząca w tym samym miejscu oraz o tej samej porze.

Patrzył, nie zdając sobie sprawy, że przestaje odczuwać siebie. Zaczął zapadać się w korytarz punktu — jego myśli podążyły w stronę łuny, chcąc się przebić przez nią na wylot, by zobaczyć co kryje się dalej. Gdy usłyszał złowieszczy śmiech, otrząsnął się. Pomyślał, że diabeł już na niego czekał z rozcapierzonymi szponami, gotowy do skoku i wyrwania najmniejszej cząstki życia. Nie wiedział, ile czasu tak strwonił — równie dobrze mogły to być sekundy, minuty, bądź godziny.

Odwrócił się na pięcie i dał nogom ponieść się do wyjścia. Kac ulotnił się, pozostawiając ledwo odczuwalny niesmak w ustach, a wzrok dalej karmił się widokiem twarzy kobiety, którą Adam wypatrzył wśród kolorowych wstęg światła łuny. Nigdy wcześniej nie widział nikogo takiego. Zastanawiał się, czy będzie widoczna na zdjęciu? W końcu była tam przez chwilę, akurat wtedy, kiedy naciskał spust migawki.

9. DEFINICJA III

Popęd — psychiczna reprezentacja pobudzenia. Źródło jego tkwi we wnętrzu organizmu, na granicy tego, co biologiczne oraz tego, co psychiczne. Popęd nigdy nie jest uświadamiany. O jego istnieniu możemy się przekonać jedynie dzięki reprezentacji popędu, która jest obsadzona przez popęd.

10. OCZEKIWANIE III

W dawno nieużywanej małej, prywatnej ciemni było na tyle cicho, że Adam bez większych problemów słyszał, co dzieje się w pozostałej części domu. Nie dobiegały go żadne dźwięki oprócz szelestu własnego ubrania, jednostajnej pracy czerwonej lampki oraz monotonnego pluskania wody z odczynnikami. Dom wydawał się pusty, jakby nikogo poza nim nie było.

Wiedział jednak, że po drugiej stronie zamkniętych drzwi czai się Wiola — stojąca sztywno jak posąg, ledwo znajdująca siłę na oddech i szybkie ocieranie łez upadających na kuchenny stół. Chciał wyjść z pracowni i usiąść obok niej, otoczyć ramieniem jak za starych, dobrych lat, kiedy byli szczęśliwsi niż para szczeniąt oddających się niepohamowanej niczym zabawie. Pragnął dotknąć jej ust, poczuć ich wilgoć. Chciał udowodnić sobie, że ta piękna pospolitą urodą kobieta jest realna, że jest obecna i tylko przykry los spowodował jej chwilowe zniknięcie z jego życia uczuciowego.

Wiedział także, że nie potrafi już patrzeć na nią tak, jak dawniej. Tej nocy była dla niego jak zło konieczne — jak ktoś, komu nie można już zaufać, a jednak pozwala mu się przebywać tuż obok, bo tak rozkazuje życie.

Wlepił wzrok w obraz na papierze kredowym nieśmiało wynurzający się z wodnej kąpieli. Gwiazdziste niebo w czarnym kolorze — proste zdjęcie, bez celu, bez przesłania. Idealne dla magazynów o eksploracji kosmosu, tak samo bezpłciowe, jak tamtejsze artykuły ze specyficznymi naukowymi terminami w każdym akapicie, tak naprawdę nie traktujące o niczym. Próbował dostrzec coś jeszcze, jakiś zarys łuny, kształt kobiecej twarzy, ale bezowocnie.

Wyjął fotografię i wytarł chusteczką plamy wody. Włożył do specjalnej prasy i przeciągnął wałkiem powoli, dwukrotnie. Następnie

powiesił zdjęcie na sznurku i poczekał chwilę.

Dalej nic.

Zapalił papierosa, by pozwolić sobie na kilka minut spokoju. Nie chciał wracać do sypialni, gdzie w najlepszym przypadku czekało na niego puste łóżko, a w najgorszym rozgoryczona i wściekła na cały świat żona. Czekał, nie wiedząc na co.

W końcu zerknął ostatni raz na schnące na sznurze swoje ułomne dzieło i zrezygnowany machnął ręką. Wyszedł.

Sypialnia była zamknięta. W środku Wiola płakała cicho. Nie zapukał, poszedł spać do salonu.

11. POPIÓŁ I DIABEŁ III

Upijał się powoli, ale zdecydowanie. Upijał się tak jak w sobotę, piątek, czwartek i wtorek z przerwą na środę. Poniedziałki zawsze zostawiał na załatwianie spraw służbowych, choć dawno obiecał sobie, że przełoży to na środę, kiedy kac jest tylko jednodniowy. Nigdy jednak nie był w stanie zmienić przyzwyczajień.

Miał rozsądną taktykę — pierwsze piwo na rozruch, żeby odpalić silniki i rozgrzać je do optymalnej temperatury. Potem szklaneczka rumu z colą, następnie druga. Obie podwójne. To pozwalało wrzucić pierwszy bieg, a nie katować się na jałowym.

Dalej szło już szybciej, choć nie był typem wyścigowca — nie musiał nikomu udowadniać, że rozpędza się do setki w pięć sekund, żeby potem równie szybko opadło z niego powietrze. Adam był inny, pił równo, bez pośpiechu, ale i tak prędzej niż reszta. Nikt inny poza nim oraz Popiołem nie potrafił odkryć w tym prawidłowości, więc wszyscy albo próbowali przegonić i lądowali pod stołem pijani w pesteczkę, zanim wieczór na dobre się rozkręcał, albo wlekli się i sączyli piwo małymi łykami jak stuprocentowi, bezkompromisowi i niereformowalni nudziarze.

W końcu także Adam miał dosyć — kończyła mu się benzyna, mimo iż cały czas dolewał jej do pełna. Czarno-biała kratownica mety łopotąła w oddali, ale cóż począć — silnik już stał.

Na drugi dzień czuł się tak, jak musi się czuć samochód przeznaczony do kasacji. Jego taktyka, choć zabójcza dla reszty rywali w wyścigu do trzeźwości (bo Adam tak naprawdę pił, by w końcu bezboleśnie wytrzeźwieć), pozwalająca zostawiać ich daleko w tyle, nigdy nie pozwoliła jemu samemu dokończyć rajdu. Wieczna dyskwalifikacja, wstyd i szybki remont silnika, by zdążyć do następnego etapu.

W gruncie rzeczy nie potrzebował dojechać do mety (choć chciał), nie był przecież rasowym sportowcem. Raczej odnalazł się w roli challengerera, wiecznego faworyta — wystarczyło mu pole position i

świadomość, że gdyby nie kiepska ekipa w boksie, mógłby być pierwszy i mógłby zgarnąć główną nagrodę — emeryturę od alkoholu. Jednak tak naprawdę oszukiwał sam siebie — bał się wygranej, a jego duch walki gubił się gdzieś na dziesiątym okrążeniu.

Był w trakcie ósmego, kiedy pojawiła się ona.

Gdy weszła, nikt jej nie zauważył. Jedyne barman podniósł leniwy wzrok znad lady, lecz zaraz wrócił do robienia drinka dla zdecydowanie bardziej atrakcyjnej kobiety. Dziewczyna więc rozejrzała się po sali spojrzeniem tak rozczarowanym, jak spokojnym. Wolnych stolików nagle zrobiło się aż nadto, choć Adam mógł przysiąc, że jeszcze przed chwilą było odwrotnie.

Tyle miejsca dla jednej osoby, z której oczu bez większych problemów można wyczytać samotność — tyle miejsca, że zmieściłby się jeszcze ktoś, ale nie ma nikogo. Tyle miejsca dla siebie, że aż można się zgubić. Dziewczyna tak właśnie wyglądała — na zagubioną.

Było jej w tym do twarzy. Tym bardziej, że świat wokół niej wyglądał, jakby właśnie się odnalazł.

Ta paradoksalność rzucała cień na całą izbę, czyniła wszystko dookoła nedorzecznym. Wszystkie piękne kobiety stały się pospolite, piwo przestało smakować, papierosy zgasły w tym samym momencie, zaś ona po prostu usiadła, stając się piękną swoją nieciekawą urodą. Spojrzała na Adama i już wiedział, że jest utkana z marzeń każdego mężczyzny, mimo iż nikt prócz niego nie zwracał na nią uwagi. Jej szarość była w pełni naturalna, brakło w niej choćby śladu fałszu.

Oto kobieta dla wszystkich — od starych po młodych, od pięknych po brzydkich, od inteligentnych po głupich. Kobieta, którą trzeba zdobywać, pomimo jej wątpliwych na pierwszy rzut oka zalet. Idealna dla tych, których obchodzi pogoń za króliczkiem oraz podróż w kosmos. Jej wdzięk i powab, tak ulotne — jak pomyślał — i trudne, bo trwalsze, a nawet piękniejsze niż czar innych. Dziewczyna tak emanowała prostotą, że jej rozczarowanie brakiem zainteresowania wśród mężczyzn szczerze Adama rozbawiło.

Obserwował jak pozornie spokojnie wyczekiwała szczęścia przy pustym stoliku. Właściwie była brzydka, bo szarość jest brzydka, ale nie można powiedzieć, że była nijaka. Jej uroda zaginała estetyczną przestrzeń filozofii — brakowało kategorii, by ją dookreślić. Są takie rzeczy, które nie śniły się nikomu.

— Znasz ją? — spytał Adam.

— Kogo? — Popiół spojrzał na niego zdziwiony, po czym wrócił do osuszania kufła tak, jakby żadne pytanie nie padło.

Adam wyjął papierosa, odpalił i wstał.

Podchodząc do stolika dziewczyny zorientował się, że już ją kiedyś widział.

Gdy odwróciła się w jego stronę, miał pewność.

Jej twarz zobaczył kilka dni temu na nocnym nieboskłonie, wśród cmentarnej łuny.

12. TRZY ŻYCZENIA I

— Jestem Trzy Życzenia — wyszeptała mu do ucha, kiedy niecierpliwymi dłońmi obejmował ją w pól. — Trzy Życzenia dla ciebie.

Adam nie zauważał ludzi przechodzących wokoło, mijających ich na schodach prowadzących do pubu. Byli tak blisko, ale zarazem tak daleko, jak małe ludzkie miniatutki widoczne z wysokości. Tymczasem na wyciągnięcie ręki stała ona, rozkosznie spięta i pachnąca obietnicą. Półpiętro, na którym rozpalony do czerwoności chłonał bliskość dziewczyny, było rozmazane. Wirowały ściany z cegieł, podłoga znajdowała się gdzieś w dole, a oni lewitowali, unoszeni przez magiczną siłę pożądania oraz alkoholu.

Wpatrywał się w nią nie mogąc uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Magiczna sztuczka prestidigitatora — sprawię, że znikniesz z tego padołu, znajdziesz się wysoko, w niebiosach pełnych seksu i rozkoszy. Wystarczy tylko kilka słów, kolejny drink uzupełniający wcześniejsze braki i już. Będziesz zadowolony — mówił magik zwany przeznaczeniem. Albo kuszeniem, nie miał pewności.

Wyszli z pubu i poszli do niej. Nie uszli daleko, Adam nie wytrzymał.

Chciał teraz, już, natychmiast. Chciał zedrzeć z niej ubranie i wąchać jej ostry, różany zapach. Marzył, by gładzić jej jasnorożową skórę i pomalowane na fiolet wpadający w róż usta, z których wypływały słodkie słowa.

— Tylko dla ciebie — powiedziała.

Nie wiedział, czy ktoś znajomy go widział. Zresztą, jeśli nawet, nie obchodziło go to. Wiola już dawno zrzuciła maskę pozorów, nie bacząc na konsekwencje. Dlaczego więc nie on? Co to zmienia? Jego związek to już fikcja, niebyt, nicościowanie nicości, neantyzacja, cokolwiek to znaczy.

— Zrobię to, co zechcesz — kontynuowała. — Masz trzy życzenia.

Pocałował ją w szyję, tak mocno i nachalnie, że aż jęknęła przestraszona. Jednak nie odepchnęła, a tylko paznokciami w kolorze lila (pasującymi do barwy szminki) wbiła się w jego ramiona aż do krwi. Narastająca potrzeba spełnienia, przypomnienia sobie jak to jest — być mężczyzną — uderzyła z całą mocą.

Wiola była kiedyś taka sama. Też tak chciwie chłoneła wszystko, co dawał jej w czasach, gdy jeszcze potrafili się kochać. Teraz chowa to dla innego, rozgrzewa obce łóżko swoim ciałem.

Oderwał się od pieszczot i spojrzał dziewczynie głęboko w oczy. Natychmiast wpadł ich głębię, w czarno-niebieską toń jak nocny ocean.

Nie usłyszał nawet swoich słów:

— Chcę znowu ją mieć. Chcę, żeby było tak, jak dawniej.

— Będzie jak zechcesz — odpowiedziała. — A teraz chodźmy do mnie. Ja też mam życzenie.

Wtedy cały rozsądek Adama utonął w jej wzroku.

13. DEFINICJA IV

Kateksja — wybór obiektu popędu, oznacza podjęcie działań oraz odpowiednią inwestycję energii w działanie lub wyobrażenie, które zaspokaja popęd.

14. OCZEKIWANIE IV

Znowu czekał, wściekły na siebie, ale i zadowolony. Odezwało się sumienie, dawno nieużywane, całe zakurzone, zaspane, ale jednak ciągle krzykliwe i nerwowe. Mówiło mu rzeczy, których nie chciał słyszeć, które wolał zepchnąć w otchłań zapomnienia.

Sumienie to taki przyjaciel, na którego nigdy nie można liczyć, kiedy popełnia się błąd, ale który pierwszy poderwie się do naprawiania zepsutego świata, kiedy zajdzie taka potrzeba. Adam uważał, że to toksyczna przyjaźń, pasożytnicza, karmiąca się grzechem, pomyłką, negatywnymi emocjami.

Pomimo tego siedział spokojny, zagłaskany przez zaspokojenie, leniwie wpatrzony w jeden pusty punkt za oknem, jakim była mała plamka lasu mająca na granicy horyzontu. Czuł się, jakby powietrze wyparowało mu z płuc, a serce zwolniło, zahamowało tuż przed wyjątkowo ostrym zakrętem.

Wiola snuła się po pokojach wyraźnie zaniepokojona. Ten stan trwał już od kilku dni. Rozpoczął się w chwili, kiedy wróciła rozjuszona kłótnią z kochankiem. Od tamtej pory nie ruszała się z domu, wzięła urlop w pracy i zajęła się przestawianiem drobiazgów z miejsca na miejsce. Przełożyła ich wspólne zdjęcie z honorowej półki z pamiątkami na parapet przy oknie sypialni. Znalazła nowe legowisko dla puchowej żaby — maskotki z czasów młodości, którą uwielbiała ponad miarę, choć kolory z żywych i radosnych zdążyły przekształcić się w spalone słońcem smutne, pastelowe barwy. Miniaturowego toruńskiego Kopernika przestawiła na blat kuchenny, pomiędzy sól i pieprz, zupełnie bezcelowo. Mapę Ostrołęki zerwała ze ściany i pieczołowicie rozłożyła we wnętrzu kosza na śmieci. Z balkonu zniknęła popielniczka. Adamowi nie udało się ustalić, gdzie powędrowała. Miał nadzieję, że niedaleko, nie lubił wyrzucać niedopałków do skromnego, ale urzekająco zadbanego ogrodu.

Jednak począwszy od dzisiejszego ranka, kiedy zdziwiony wzrok Wioli powitał męża wracającego z nocnej przygody, coś się zmieniło.

Patrzyła na niego, pełna żalu i rozczarowania, jednak Adam nie powiedział nic, minął ją i poszedł do kuchni, by zapalić papierosa. Był zdziwiony — czyżby Wioli jeszcze zależało? Po tym wszystkim, co przeszli? Nawet po jej zdradach, z którymi nie chciała się kryć? Zdrajca odczuwa zdradę tysiącrotnie mocniej niż niewinny.

Czekał więc, sam nie wiedząc, na co.

Doczekał się pod wieczór, kiedy już ubierał się, by wyjść do pubu na piwo z Popiołem. W myślach pragnął ponownego spotkania z tą dziwną kobietą, w której tak się zauroczył. Chciał wypowiedzieć kolejne życzenie, z takim samym przekonaniem, iż się nie spełni.

— Zostań — powiedziała cicho Wiola. — Zostań dziś.

Były to pierwsze słowa do niego skierowane, jakie usłyszał z jej ust od wielu tygodni.

Zrozumiał, że życzenie zaczyna się spełniać.

Tym szybciej wyszedł, aby wypowiedzieć następne.

15. POPIÓŁ I DIABEŁ IV

Z pubu przeszli na plac Bema — do niedawna jeszcze miejsce schadzek ostrołęckiej młodzieży, dziś ledwie smutny kawałek betonowej przestrzeni z kawałkiem kamienia imitującego postać generała pośrodku i dwoma armatami po bokach. Było to pierwsze martwe miejsce w środku Starego Miasta — pierwsze, bo po nim umarły następne. Wszystkie ginęły w ten sam sposób — od cyfrowego wzroku kamer-podglądaczy nagrywających to, co działo się pod ich oczyma.

Łunę było stąd widać prawie tak dobrze jak spod cmentarza, więc nie czuli się samotni. Czujne oko policji patrzyło na plac przez kamery. Wzrok zmarłych, ukrytych w blasku wielokolorowego światła dwa kilometry dalej na północ, spoczywał wprost na nich. Adam próbował wypatrzeć wśród tego zielonych oczu matki — bezskutecznie.

Popiół wyglądał na podenerwowanego. Od kilku dni pił nieomal w kompletnym milczeniu, co nie było do niego podobne. Owszem, lubił milczeć, ale nigdy za długo. Zawsze w końcu otwierał usta, by rzucić coś ot tak, by usłyszeć swój głos. Teraz nie zagajał niepytany, a na pytania odburkiwał krótko, by uciąć wszystko w zarodku. Jego głos był jak kosa — nieprzejednany, ostry, groźny.

Popijali piwo i czekali, aż zjawi się policja. Ta tymczasem nie kwapiła się do przyjazdu. Z psami tak zawsze — pomyślał Adam. — Nigdy ich nie ma, kiedy się ich oczekuje.

— Ile mamy jeszcze piw? — spojrzał na towarzysza. Ten pochylał się nisko, jakby składał pokłon butelce stojącej na ziemi.

— Niewiele.

— Szefowa jeszcze otwarta — spojrzał w kierunku pobliskiego sklepu. — Możemy kupić.

— Nie mam kasy.

— Ja mam.

— To kup.

Adam sięgnął po portfel, jednak zatrzymał się w pół ruchu i wypalił zupełnie bez sensu:

— Chciałbym znowu ją spotkać.

Popiół, wreszcie zainteresowany, zwrócił ku niemu twarz.

— O kim mówisz?

— O tej dziewczynie z pubu. Trzy Życzenia, tak mi się przedstawiła.

— Co ty, kurwa, bredzisz?

— Nie wiem, człowieku. To było jak grom. Nie oczekujesz tego, wiesz, że to się zdarza, ale gdzieś daleko, nie tam gdzie ty. A tu nagle uderzyło...

— Adam... Co się z tobą dzieje?

— Nie majaczę, wyluzuj. Chodzi mi o to, że tej nocy, wczoraj albo przedwczoraj, sam nie wiem, mieszają mi się dni... W każdym razie wtedy, kiedy mocno przegięliśmy, spotkałem kogoś. Była dziwna. I piękna.

Adam upił łyk piwa i wyciągnął papierosa. Dym smakował słodką goryczą alkoholu.

— Zauroczyła mnie — kontynuował. — Wiesz jak jest, żona kurwa, dom pusty, żeby chociaż dzieci były, to bym miał zajęcie. Nie myślałbym o głupotach. Generalnie czujesz się, jakby znowu w życiu ci nie wyszło i masz ochotę wyć. Łóżko zimne, pachnące tytoniem zamiast jej perfumami. I wyczekiwanie w oknie, aż ten pierdolony chuj odwiezie ją do domu, do męża, żeby poudawała związek.

Dyrygował papierosem jak batutą. Im dłużej wyliczał, tym mocniej machał. Jego głos zbudził śpiące pod dachem ratusza gołębice, który wystartowały do lotu, by poszukać spokojniejszego noclegu.

— Czujesz się, jakbyś się patrzył w ten jebany pusty punkt, o którym ci opowiadałem. Zapadasz się w niego coraz głębiej i faktycznie widzisz diabła. Diabłem jest monotonia i odrzucenie. Moja żona się puszcza z byle kim, rozumiesz? Dlaczego ja nie miałbym robić tego samego?

— O czym ty mówisz?

— O tej dziewczynie, a o kim?

— Przespałbyś się z nią?

— Stary... Już to zrobiłem.

Popiół wstał bez słowa, wziął piwo i poszedł. Zdziwiony wzrok Adama odprowadzał go do zakrętu na jedyny w kraju deptak udostępniony dla samochodów.

Adam wyrzucił niedopalonego papierosa i stłukł butelkę o bruk.

Przejeżdżającym nieopodal policjantom było i tak wszystko jedno.

16. TRZY ŻYCZENIA II

W Ostrołęce są trzy rodzaje ulic.

Pierwsza — ulice główne. Głównie można tam dostać w zęby, szczególnie w nocy.

Druga — ulice poboczne. Głównie można tam dostać w zęby, czasami, niejako pobocznie, można spotkać złodzieja.

Trzecia — skrót. Zwykle czeka tam na przechodnia bójka, w której może stracić zęby, za rogiem czyha złodziej, a także inne, niespotykane nigdzie indziej, atrakcje.

Adam szedł skrót, łąką przy słynnym Zbawicielu — niegdyś drewnianym kościele, spalonym w niewyjaśnionych okolicznościach kilkanaście lat temu, dziś murowanym, kilkakrotnie okradanym przez proboszczów. Parę lat temu zadźgano tu nożem starszą kobietę, gdy wracała nocą do domu. Od tamtej pory wszyscy unikali tej ścieżki. Wszyscy oprócz tych, którzy wiedzieli, że cała reszta stroni od tego miejsca, dzięki czemu jest to jedna z najbezpieczniejszych okolic na mapie miasta.

Nie oznaczało to oczywiście, że pod osłoną mroku nie zdarza się tu nic dziwnego. Adam uśmiechnął się do tej myśli i wyciągnął papierosa. Nikły płomień zapalniczki na chwilę rozjaśnił drogę przed nim jakby tylko po to, aby ujawnić skrywającą się w ciemności postać. Mężczyzna poczuł, że widzi coś, czego nie mógłby zobaczyć nikt inny.

Dwie wieże kościoła wyglądały jak cień na tle nieba, nieoświetlone, zimne i nagie. Dziewczyna opierająca się o mur okalający parafię, ledwo widoczna w mroku, również była zimna i naga.

Zanim podszedł, zawahał się tylko przez chwilę. Ciekawość — pierwszy, najbardziej ekscytujący krok w piekielne ognie — zwyciężyła.

— Trzy Życzenia? — wybełkotał niepewnie.

— Już tylko dwa — odparła.

Wpatrywał się w nią zdziwiony, ale i zafascynowany zarazem. Stała tak, bezwstydna i swobodna, jakby zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, że nie ma nic na sobie. Jej piękno, uśpione przy ich pierwszym spotkaniu, nabrało teraz mocy, jak gdyby pod ciepłym spojrzeniem oczu Adama. Dziewczyna rozjaśniała sobą mrok, chociaż ten zdawał się być zbyt gęsty i ciężki. Dla niej jednak powstała wyrwa w ciemności, dziura, w której mieściła się cała jej niepokojąco wyzywająca postać.

Nie mógł uwierzyć, że spotyka ją właśnie teraz, kiedy skończył szukać, kiedy wracał do domu i nie czekał na cud. Zmęczony długim wieczorem, utrzymywany na nogach przez uderzające do głowy procenty, zdenerwowany zachowaniem kompana, nie liczył, że ją odnajdzie.

A raczej, że ona będzie na niego czekać właśnie w takim miejscu.

— Dwa? — spytał.

— Za mało? — uśmiechnęła się zalotnie.

— Zdecydowanie za mało.

I chyba o jedno piwo za dużo — pomyślał.

Czuł się oderwany od rzeczywistości. Nie wiedział, czy to wszystko to tylko wytwór pijanej wyobraźni, pijackiego snu, czy chorych, ukrytych pragnień. Przypomniawszy sobie Freuda — Id, ego, superego — jeden człowiek w trzech erotycznych odsłonach. Popędy władające pragnieniami, z których świadomość nie zdaje sobie sprawy. Seksualne igraszki miotające człowiekiem między wstydem, zdumieniem i pożądaniem. Eros i Tanatos, bożki pieprzonej kopulacji, zwodniczej przyjemności, wodzące za nos wszystkich, także i jego.

Roześmiał się i poczuł ulgę. Zrozumiał już wszystko — zwykłe majaki, przywidzenia — projekcja mózgu opętanego wizją seksu. Mężczyźnie wystarczy byle słowo, byle gest, byle widok, by poczuł ochotę. Szczególnie, gdy wszystko inne trafia szlag. Zwykła ucieczka od rzeczywistości w rejony, gdzie panuje błogi hedonizm.

Poddał się więc tej radosnej rozgrywce, tym chętniej, że nic nie wyglądało na prawdziwe.

— Chcę ciebie, wytworzę moich marzeń sennych, erotyczna zabawko alkoholowych wizji — powiedział donośnym tonem aktora dramatycznego. — Nigdy nie było mi tak dobrze, jak z tobą, chociaż i tak niewiele pamiętam. Dziś mam ochotę wyć, więc pozwól mi na to. Chcę wyć z tobą. Będziemy jak młode wilki.

Zawył żałościwie, a dziewczyna zawtórowała. Mam naprawdę pojebane pomysły — skwitował w duchu.

Poczuł palec na swych ustach. Pachniał mocnymi perfumami.

— Jakie masz życzenie, no powiedz? — w jej oczach błyszczał ogień.

— Chcę... — zaczął, ale zachwiał się, oszołomiony nadciągającym atakiem mdłości.

— Powiedz.

— Chcę... Chcę wiedzieć, z kim ona się pieprzy.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko, ukazując białe i ostre, nieomal wilcze kły. Adam poczuł, że jego wzrok zapada się w tym widoku, upiornym i tak wiele obiecującym.

— Chcę poznać jej kochanka — dodał i osunął się na ziemię wyczerpany.

Dlaczego nawet teraz myślę o Wioli? — spytał się w myślach.

— Będzie, jak sobie życzysz — usłyszał, zanim stracił przytomność. — Ja też sobie tego życzę...

17. DEFINICJA V

Agresja (łac. *aggresio*, czyli *napaść*) — termin w psychologii oznaczający zachowanie mające na celu spowodowanie szkody fizycznej

lub psychicznej, ukierunkowane na zewnątrz lub do wewnątrz.

18. OCZEKIWANIE V

Patrzył długo. Tak długo, że już wydawało mu się, że przestał cokolwiek widzieć.

Jednak widział, choć jego zmęczone oczy usilnie próbowały się zamknąć. Świadomość domagała się snu, by odpocząć w krainie marzeń, gdzie wszystko było tak jak dawniej, gdzie było więcej pasji i sensu. Adam nie pozwalał sobie na chwilę słabości. Wiedział doskonale, że jeszcze trochę, a jego wysiłki zostaną nagrodzone.

W końcu wypowiedział życzenie. Musiało się spełnić.

Zapalił kolejnego papierosa. Wiola, ku uciesze Adama, nie przestawiła popielniczki z kuchni na inne miejsce. Zanim poszła, zrobiła kolację i przyniosła mu do ciemni, gdzie pracował nad zdjęciami. Próbowała nawiązać rozmowę, ale zbywał ją bezlitosnym milczeniem, które może nie wydawało mu się złotem, ale jednak uważał je za najlepsze wyjście z sytuacji. Doszedł do wniosku, że nie może pozwolić sobie na słabość, a tą byłoby udawanie przed własną żoną, że wszystko jest w porządku.

Kobieta spakowała więc torebkę i zadzwoniła do kochanka.

— Bądź tam, gdzie zawsze, musimy to skończyć — powiedziała do słuchawki telefonu.

Jedyną myślą Adama było wtedy to, że powinni rozwiązać umowę z operatorem i odłączyć telefon. Od zaufanego człowieka słyszał, że teraz wszystkie rozmowy są nagrywane. Człowiek ten musiał wiedzieć co mówi, niegdyś pracował w branży telekomunikacyjnej.

Dopiero gdy Wiola wyszła, zrozumiał, że coś się zmieniło, być może na lepsze.

Chciał pojechać za nią, zobaczyć, czy rzeczywiście jego przypuszczenia się potwierdzą i czy żona nie kłamała, czy faktycznie szła na spotkanie z zamiarem rozstania się z kochankiem. Ostatecznie został w domu i zdecydował się czekać. Męczył go potworny kac, a poza tym polubił to leniwe wpatrywanie się w jeden określony punkt na horyzoncie. Kątem oka widział też ulicę i podjazd do bramy posesji. Gdyby Wiola wracała, mógłby wypatrzeć ją odpowiednio wcześniej, by szybko zdjąć ubranie i rzucić się do łóżka, jak to zwykł czynić.

W końcu zobaczył, jak jego żona wysiada z niebieskiego samochodu. Chciał już wstać i rzucić się do drzwi, wybiec na ulicę i dorwać tego sukinsyna — jak zwykł myśleć o kochanku Wioli — który bezwstydnie pieprzył jego kobietę. Powstrzymał się, bo Wiola krzyczała:

— Nigdy więcej! Nigdy już mnie nie zobaczysz! I nie prosź, nie żebraj jak pies, nie takiego chciałam cię znać!

Wbiegła do domu i rozplakała się. Zapach jej łez rozmieszanych z

perfumami wreszcie rozpalał w Adamie ciepłe uczucia. Pachniały miłością — zszarganą, prawie utraconą, wystawioną w straszny sposób na próbę, ale jednak miłością. Dawno nie odczuwał tego ze strony Wioli.

Na ulicy, przy samochodzie, który od początku wydawał się Adamowi znajomy, stał on, kochanek.

Stał i płakał rozżalony, porzucony.

Adam rozpoznał jego twarz.

Popiół.

19. ŁUNA CMENTARNA III

Świat zamarł w oczekiwaniu. Żadnego szmeru, który zmaćliby niespokojną ciszę, żadnego ruchu, który mógłby zbudzić zakutą w zardzewiałe kajdany, śpiącą kruchym snem bestię. Potwór zwany wściekłością mógł w każdej chwili uwolnić się z łańcucha, przegryźć stal i uciec, by siać spustoszenie.

Niecierpliwość i perwersyjny entuzjazm był w tym czekaniu, jakby rzeczywistość niemym krzykiem nawoływała — zrób coś, zrób coś człowieku! Póki co karmiła się niezdecydowaniem, strachem i rozżaleniem, wierząc, że za chwilę wszystko się zmieni.

Adam patrzył na płytę nagrobną matki i tylko nieznaczne drżenie jego ciała świadczyło o tym, że żyje, że jest, że nie śpi. Nie miał jednak odwagi otworzyć ust i wypowiedzieć choćby słowa. Jego dłonie trwały w bezruchu, a na twarzy nie odbijała się żadna emocja.

Próbował się wyciszyć, uspokoić, choć obawa przed wszystkim narastała. Wiedział, że jeśli zrobi cokolwiek, wszystko się skończy zamiast zacząć na nowo. Całe jego życie legnie w gruzach złości przemieszanej z chęcią zemsty. Pierwszy raz w swoim życiu zapragnął apatii. Wyzbyć się pragnień, marzeń, nie dopuszczać żadnych emocji, nie cieszyć się niczym, nie smucić się niczym. Wpaść w wir życia bez oczekiwań, tak jak prawdziwy stoik. Było to paradoksalne — chcieć, żeby nic nie chcieć. Uważał, że to jedyna słuszna droga, która doprowadzi go do... sam nie wiedział dokąd. Znał jednak siebie na tyle, że wiedział, iż to się nie uda. Kiedy tylko jego dłoń sięgnie po papierosa, kiedy płuca łapczywie zaciągną się dymem, wtedy pojawi się myśl, która odrzuci wszystkie poprzednie i rozleje się po całej świadomości zakrywając to, co było kiedyś. Nowa jakość, nowy wzorzec, nowa namiętność...

Nowa nienawiść.

A świat patrzył szydzącym wzrokiem. Oczy matki ze zdjęcia pamiątkowego, oczy miasta skąpanego w świetle neonów, ślepia milionów duchów z cmentarnej łuny — wlepione w niego z litością podobną do tej, którą ma drapieżnik dla swojej ofiary. I jego oczy, wpatrzone w nicość.

Kim była ta kobieta? Jego marzeniem? Jego kreacją złożoną z cieni podświadomości? Jego Id, freudowską emanacją chorych, wstydliwych, ukrytych pragnień? Czy tylko objawem szaleństwa, kielkującego w jego pijackiej głowie? Spełniała życzenia w zamian kradnąc kilka chwil, których nie mógł pamiętać. Dawała mu to, czego chciał.

Pomyślał, że nigdy w życiu tak naprawdę nie potrafił wyrazić, czego oczekuje od życia i od siebie. Nikt go tego nie nauczył. Wszystko, co robił, było buntem przeciwko tym, których kochał najbardziej — najpierw przeciw matce, potem Wioli. Czy tak naprawdę zrobił coś dla kogoś? Czy zrobił coś dla siebie?

Kiedy dłoń zawędrowała do kieszeni kurtki, świat odetchnął z ulgą.

— Niech się stanie, co ma być — wyszeptał.

Zapalił papierosa i poczekał, aż rzeczywistość spadnie na niego z całą mocą.

Nie zdążył dopalić, kiedy pojawiła się ona.

Po prostu usiadła obok, na sąsiedniej ławce, zwrócona do niego jaśniejącym obliczem. Niosła ze sobą światło. Promienie jakby rozrywały jej skórę, paliły od wewnątrz. Nie ruszała się jednak, patrząc jedynie czujnie i z nadzieją.

— Równie dobrze mogłabyś się pojawić na płonącym rydwanie ciągniętym wprost z gwiazd przez dwa piekielne ogary — powiedział.

Wyciągnął drugiego papierosa i mówił dalej:

— Albo spod ziemi. Gdybyś wyszła z grobu, nawet bym się nie dziwił. Ja w ogóle nie jestem w stanie się dziwić, kiedy jesteś w pobliżu. Patrząc na ciebie i cały mój rozsądek ucieka. Mogłabyś otańczyć przede mną rozbierany taniec, a jedyną moją reakcją byłaby ciekawość. I pożądanie, ciebie przecież trzeba pożądać, prawda?

Dziewczyna nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się lekko, tak wdzięcznie i tajemniczo, że Adam poczuł rozlewające się po całym ciele ciepło.

— Wariuję przy tobie — kontynuował. — Zachowuję się jak szczeniak, jakbym nigdy nie miał kobiety. Patrząc na ciebie i widzę tylko to, kim mogłabyś się stać w moich ramionach. To śmieszne, bo ja... nie jestem sobą. Nie wiem, kim jestem, gdy na ciebie patrzę. Jak więc mogę chcieć ciebie? Kim się stajesz, skoro ja staję się nikim?

Adam poczuł wibrujące wkoło powietrze. Tańczący cmentarz, duchy szalejące na swoich grobach, świętujące noc, w którą żywi popadają w obłąd. Wtedy tam, trzymając dogasającego papierosa, Adam miał wrażenie, że nie dzieje się to po raz pierwszy, a któryś z kolei. Cmentarz pachniał umarłą radością.

— Dopatrzyłem się ciebie, moja droga, patrząc w ten jeden pusty punkt, o którym mówiła mi matka? W końcu dojrzałem sens, ale dalej pozostał dla mnie nieuchwytny... Kiedy wreszcie coś mi się w życiu

udało, kiedy dojrzałem światło, zapadam się i tracę rozum. Na tym to polega, tak? Przychodzisz do każdego, który stoi na rozdrożu i patrzy zdezorientowany na niezrozumiałe znaki? Bierzesz go za rękę i prowadzisz tam, gdzie nie wiedzie żaden ślad? Tak, to pewne... Mnie zaciągnęłaś w mrok, skąd nie ma już powrotu. Przez ciebie zgubiłem drogę.

Uparta cisza dzwoniła w uszach.

— Chuj z tobą, siostrzo. Nie mogę mieć pretensji, sam szukałem piekła. Jesteś po prostu przewodnikiem.

Narew zaszumiała w swoim korycie, tuż za wałem, tak jak wtedy, gdy siedzieli z Popiołem nad plażą, patrząc na prymitywne zaloty. Kobieta podniosła się i stanęła naprzeciw Adama. Jej promienie rozgrzewały jego zmarznięte ciało.

Oto Ewa — pomyślał.

— Mam jeszcze jedno życzenie — powiedział.

Przytaknęła ruchem głowy.

— Więc pójdę dalej sam. Do najgłębszej otchłani.

20. TRZY ŻYCZENIA III

Gdy przyszedł do domu, Wiola już spała. Zasnęła na kanapie, przykryta kocem, przy włączonym telewizorze. Na ekranie nagie kobiety wirowały dokoła rury, przy entuzjastycznym aplauzie rozpalonych samców. Żona musiała spać od jakiegoś czasu, zmęczona wydarzeniami ostatnich dni, gdyż nigdy nie pozwoliłaby sobie na oglądanie czegoś takiego.

To dobrze — pomyślał. — Obejdzie się bez hysterii i przeprosin.

Poszedł do ciemni. Włączył czerwone światło i przyjrzał się jeszcze raz zdjęciu sprzed kilku dni. Na tle łuny, teraz doskonale widocznej, widać było twarz kobiety, która wywróciła jego życie do góry nogami.

Pomyślał o nich wszystkich — o tych biednych ludziach, którzy potrafili tylko urzeczywistniać swoje przyjemności, oszukując i kpiąc sobie z niego. Pomyślał o radach, jakie dawał mu Popiół — „może jeszcze nie wszystko stracone? ”, „może to wasza szansa? ”. To tylko puste słowa imitujące przyjaźń. Ciekawe, na ile Popiół sam w nie wierzył?

Uśmiechnął się i wyjął z szafki mały pistolet zakupiony w szczeniackich czasach w tajemnicy przed matką i chowany przed strachliwym okiem Wioli. Na odwagę pociągnął łyk czystej wódki, stojącej obok.

Tej nocy miasto miało usłyszeć trzy strzały.

Dla żony.

Dla kochanka.

Dla zdradzonego męża.

Ostrołęka — Olsztyn
luty 2009 — maj 2009

Znicz

*Ach, nie płacz, nie płacz,
to jest takie nic, smutne ucichanie,
a właściwie to jest cisza pierwsza i jedyna...
usychające kwiaty nad mdlącym postaniem...*

Krzysztof Kamil Baczyński „Śmierć”

Jeden

Pochylam się nad prochem, gdy pojawia się ona. Jest tak młoda i tak przeraźliwie chuda. Można policzyć wszystkie żebra pod cienką, siną skórą. Siedzi skulona w kącie izby, tuż pod dziurą w ścianie po pocisku artyleryjskim. Cicho płacze, obejmując się patykowatymi rękami.

Wzdycham i pocieram dłonią zmęczoną twarz. Zawsze ktoś się pojawia. Za każdym razem ktoś płacze.

Ona nie jest z tych, którzy mówią. Na szczęście, bo tacy są najgorsi. Każdy z głębokim, mocnym, cichym i martwym głosem. Z historią ciągnącą w otchłań — o kulach, bagnietach, pętłach na szyi. Te dzieje wracają do mnie co noc, nawołują, pragną pamięci. Umieram, gdy je słyszę. Co i raz, na okrągło. Podczas snu, na jawie. Płonę zimnym ogniem, topię się w urojeniach, zawisam na stryczku nieswoich marzeń.

Ona nie jest z tych, którzy mówią, ale też przeraża. Chowa twarz w szponiastych dłoniach i widzę tylko otwartą ranę od noża na szyi. Wypływa z niej strumień krwi, opływa jej ramiona, brzuch, biegnie po nogach, rozlewa się na podłodze. Muszę się spieszyć — proch nie może nasiąknąć. Gdyby wiedziała, jakie to cholernie ważne, przestałaby, kurwa, krwawić. Ale nie wie, nie zdaje sobie sprawy. Potrafi już tylko jedno — siedzieć w kącie i płakać z żalu.

— Już dobrze — mówię. Zwykle coś mówię, choć nie wiem, czy mnie słyszą. Mówię dla siebie, dla własnego spokoju. — Nikt nie powinien zostać sam.

Tępym wzrokiem obiegam pomieszczenie odwlekając moment, w którym będę musiała zrobić to, co powinnam.

Niektórzy, ci życzliwi, nazywają mnie Aniołem Zapomnianych, choć nigdy nie widziałam Boga, a zamiast skrzydeł na ramionach mam stary, zacinający się karabin. Inni wołają na mnie Znicz, Prochówka. W gruncie rzeczy — nieważne, kim jestem. Istotne jest to, ile ognia we mnie płonie. Płomyki ludzkie — ich pamięć. Zjadam pył umarłych, rozpalam w sobie wieczne pochodnie ich życia.

Gdy wojna odejdzie opowiem wszystkim, kim byli.

Tomek, mały harcerz, który miał tyle siły, aby zginąć z bagnetem w dłoni; Irena, jego babcia, do ostatniego tchu osłaniająca go przed kulami; Andrzej — ojciec, tchórz, przyłapany w lesie kilometr od rodzinnego domu, ratujący własną skórę, nie myślący o umierającym synu; i Heinrich, blondyn z Monachium, morderca tych trojga, którego orzeł Wehrmachtu nie zabrał do świata biesiadujących bohaterów, gdy AK urządziło zasadzkę na Niemców pod ratuszem.

Opowiem wszystko, co chowam w sobie, co każdy z nich chciałby powiedzieć, lecz nie zdążył.

Dziś zjem ją — młodą, chudą kostuchę o dźwięcznym imieniu Alina, niedoszlą matkę małej Jadzi, która nie zdążyła przyjść na świat. Zjem popiół z kości, serca i mózgu. Przeżuję jej włosy i paznokcie. Połknę jej pamięć, strawię nienarodzoną, a już umarłą córkę, udławię się jej istotą, rozpalę dla niej znicz we własnej duszy.

Jej proch jest miły w dotyku. I ciepły.

Pierwszy gorący posiłek tego dnia.

*

— Gdzie byłaś? — rzuca Hiena.

Na jego czarnej od brudu twarzy widać niesmak. Ręce ogrzewa nad małym ogniskiem ze starych gazet i książek. Znalazł je w którymś ze zrujnowanych domów. Ukryte pod podłogą czekały końca wojny. Zwiastuny krwawego porządku albo płonne nadzieje na lepsze jutro — pali je wszystkie z satysfakcją. Co chwila dorzuca coś nowego do prowizorycznego paleniska. Czyni to z miną kata i przez chwilę myślę, że byłaby to dla niego najlepsza przyszłość.

— Jadłam — mówię.

— A my nie jemy — syczy przez zęby.

Siadam naprzeciwko i dopiero teraz widzę Bartosza. Przykryty podziurawionym płaszczem drzemie niespokojnie. Na jego czole perlą się krople potu, a usta drgają w takt trzaskających w ogniu kartek papieru.

— Co on tu robi? — pytam cicho.

— Zdycha. Jak my wszyscy. Gdzie byłaś?

Nie odpowiadam. Wbijam wzrok w Bartka. Choć ma zaledwie dwanaście lat i podczas tego wieczornego snu wygląda jak cherubinek przysypany brudem, próżno szukać w nim tak dziecka, jak i anioła. Więcej niż połowę życia spędził z pistoletem Visa w dłoni mordując Niemców, Ruskich, Żydów, a nawet Polaków, jeśli głód wywracał trzewia na drugą stronę.

— Znowu ich szukałaś? — ponownie Hiena. Nie jest zbyt bystry. Ma tendencję do zadawania bezsensownych pytań tylko po to, aby ktoś się do niego odezwał.

— Nie musiałam.

Spuszcza wzrok beznamiętnie. Uważa mnie za wiedźmę, za jakieś stworzenie samym istnieniem sprzeciwiające się naturze. Toleruje mnie tylko dlatego, iż jeszcze za okupacji chowałam jego brata w piwnicy pod schodami mojego domu. Hiena ma dla mnie coś na wzór zimnej, wyrachowanej wdzięczności. Sądzę, że to jedyny ludzki odruch, jaki zachował przez te lata.

— Zostawcie dziwkę w spokoju — dobiega zza naszych pleców. To Brzytwa, nasz informator.

Nigdy nie przyzwyczaję się do niego. Jeśli Hiena jest zimny jak stal, to Brzytwa jest górą lodową, chłodem absolutnym. Takim, w którym zamarzają okrutne słowa. Wiem, że nie warto z nim zadzierać. Po pierwsze — jest ważny. Po drugie — żyje tak, jak ja.

— Nie jestem dziwką — mówię spokojnym głosem, nie odwracając wzroku od śpiącego malucha.

— Racja! Jesteś gitara dziewczuszka — kwituje.

Bartosz otwiera oczy i rzuca Brzytwie prowokujące spojrzenie. Rodząca się awantura umiera, ucięta wzrokiem dzieciaka. Maluch jest jedyną osobą, która potrafi tutaj walczyć. My tylko żerujemy na zwłokach, uciekamy przed kulami. On wychodzi im naprzeciw. Z dziką furią i niemożliwie głupią odwagą rzuca się tam, gdzie śmierć zbiera największe plony. Zawsze wraca z tarczą, choć pewnie wolałby na tarczy.

— Nie przejmuj się nim — zwraca się do mnie cienkim, piskliwym głosikiem. Zupełnie nie pasuje to do jego naznaczonego dorosłością oblicza. Brutalny żart brutalnych czasów. — Nie udały mu się łowy, to kręci.

Hiena odsuwa się w głąb izby. Teraz widać tylko jego oczy, puste jak to miasto. Woli być z boku, kiedy padną zbyt mocne słowa, za ciężkie cegły i Bóg jeden wie, co jeszcze. Ale nic takiego się nie dzieje. Tylko ogień bucha coraz silniej, dając nieco więcej światła, za to prawie wcale ciepła.

Brzytwa zdejmuje wełniany, poplamiony krwią kożuch i zza paska wojskowych spodni wyjmuje pakunek. Solidnie owinięta papierem, zawiązana sznurkiem paczka po chwili ląduje u stóp dzieciaka.

— Ruscy wracają — mówi informator, ocierając krwawą łzę z kącika oka.

Dopiero teraz widzę, że utyka na prawą nogę.

— Skąd wiesz? — pyta Bartosz.

— Postanowili cofnąć część sił, żeby zająć Kresy. Nie muszą się koncentrować na Berlinie. I tak reszta robi tam porządek.

Jeśli Brzytwa nie udziela odpowiedzi na pytanie, to znaczy, że pytania nie było.

Po prostu odpowiedź za dużo kosztuje.

— Tam masz wszystko — mówi w przestrzeń. — Plany, daty, kryptonimy, nazwiska, jednostki wojskowe. Wszystko.

Mały wygrzebuje się spod płaszcza i bierze paczkę pod ramię. Nie ma więcej niż metr czterdzieści wzrostu. Konus, gówniarz, srel.

Tytan.

Sięga do torby leżącej w kącie, przewiesza ją przez ramię i wychodzi w noc.

Hiena wraca do ogniska.

Brzytwa pluje krwią.

Ja jestem głodna.

*

Hiena wraca do ogniska.

Brzytwa pluje krwią.

A ja, mimo wszystko, czuję się szczęśliwa.

Garnek gorącej zupy, przyniesionej przez grupkę harcerzy, podniósł mnie na duchu. Czyli jeszcze można znaleźć coś na tym świecie. Gdyby nie te dzieciaki, nie włożylibyśmy nic do ust przez ostatni rok. Umarlibyśmy z głodu, powoli i w męczarniach.

— Niemcy ruszyli na Moskwę — mówi Brzytwa. — Większość sił na wschodzie.

— Wilczur poszedł, więc mamy odwilż — dodaje Romek, brat Hieny. — Miejmy nadzieję, że długo nie wróci.

— Nadal trzeba uważać — kwituję i sięgam po chochlę. Powietrze pachnie grochówką.

Romek cicho pogwizduje. Przestrzeń to dla niego nowość. Wolność odczuwana od niedawna, ale i tak niezmiernie. Chciwie rozgląda się, łowi każdy szczegół. Nie dziwię się. Ostatnie kilka miesięcy spędził w mojej piwnicy, w małej wnęce, którą chowałam przed światem, zasłaniając ją szafą. Przestał wierzyć w dzień. Lampa naftowa była tylko marną imitacją światła słonecznego. I tak nie zapalał jej zbyt często. Bał się, że ktoś zauważy poświatę wokół mebla, drzwi do jego azylu. Teraz nie może się przyzwyczaić. Mruży oczy. Lecz i tak jest szczęśliwy.

Chyba najszczęśliwszy z nas wszystkich.

Brzytwa też się rozluźnił. Jak nigdy. Myślnami nadal jest przy żonie, porwanej w łapance żydowskiej. Jednak nie są już tak mroczne, jak dotychczas. Pilnuje się, żeby nie stracić ani chwili wytchnienia, którego tak potrzebuje.

Nieopodal miasta, na trasie łomżyńskiej, stoi teraz tylko jeden oddział Wehrmachtu. Tutaj pozostało jedynie kilkunastu żołnierzy. Harcerze zdradzili, że według planu, wieczorem Ostrołęka ma być wolna od okupantów. Zarzną ich przed północą.

Obiecali nam, że nie będą brać jeńców.

Hiena wyjmując z pasa siwuchę i wyciąga korek zębami. Napotyka wzrokiem nasze pytające spojrzenia i odpowiada:

— Skoro nic nam nie grozi, chyba możemy poświętować?

— Masz kieliszki? — pyta Romek.

Prycham z udawanym oburzeniem.

— A na co nam? Jesteśmy w Polsce — mówię.

Wszyscy wybuchają śmiechem. Wszyscy prócz Brzytwy. Ten spluwa krwią w ognisko, czym przebudza rachityczny płomyk. Ogień przez sekundę wspina się ku górze, by zaraz wrócić do ziemi. Przez ostatnie dwa lata nauczyłam się, że żaden ogień nie może dotknąć nieba. Tam leci tylko dym.

Hiena podaje butelkę bratu.

— Osa, bo to dobra dziewczyna była — i wychyla duży łyk po czym wkłada flaszkę w moje dłonie.

— Danką — pociągam chciwie.

— Radosław — przysysa się Romek.

— Moja żona — kończy Brzytwa.

*

Nie na każdym rogu leżą prochy. Są pochowane pod gruzami, przykryte opadłym tynkiem ze ścian. Niektóre zakopane pod ziemią, w małych trumienkach, jeśli jakiejś rodzinie zależało, by ich bliski szedł do nieba zgodnie z regułami. Inne wywiał wiatr, porzosił wśród żwiru i chwastów. Można spędzić cały dzień na szukaniu i nie znaleźć nic. Szczególnie, gdy głód zagląda w oczy. Wtedy jak na psa urok, nic. Jednak w końcu coś się znajduje, są dni, kiedy trafia się na kopalnie prochów. Tak ma Brzytwa.

Ja to co innego. Ja zawsze znajdę. Choć czasem ciężko jest szukać, bo trzeba uciekać. A nawet jeśli już na coś natrafię, to...

Hitlerowiec albo Czerwony — nienawidzę ich. Gdy pochylam się nad takimi, już wiem, że to nie będzie uczta. Ich wspomnienia to wielkie krwawe fotografie śmierci. Nie takie zwykłe, czarno-białe, gdzie człowiek wygląda jak manekin. W ich obrazach wszystko jest do bólu realne, świeże. Gdy połykam prochy, powstrzymując odruch wymiotny, czuję zapach uryny, zgnilizny, świeżego postrzału w tył głowy. Oni mogą nie pamiętać własnej matki, swojego pierwszego razu z kobietą, ale to, jak naciskają spust, zawsze jest świeże.

Żydzi podobnie, ale z innej perspektywy. Dla nich śmierć to wylot lufy, ciemna otchłań wnętrza pistoletu, nieskazitelnie czyste paznokcie oprawcy. I głębokie uczucie rozczarowania, krzywdy.

Jednak najgorsi są swoi. W ostatecznej chwili całe życie przelatuje im jak szalone przed oczyma. Zupełnie bezrefleksyjne, nagie fakty — pierwsze wspomnienie, pierwsza wiosna, pierwsza klasa, pierwsza miłość, pierwsze wakacje, pierwszy zapach kobiety, pierwsze

rozczarowanie. Wreszcie — walka o to, by móc walczyć. I koniec. Jak pocztówki znad morza, suche, nicnieznaczące kawałki tektury.

Bartosz nienawidzi mnie za to, że dbam o nich wszystkich. Dla niego śmierć to śmierć. Równo traktująca wszystkich, dla każdego tak samo niesprawiedliwa. Wydierając prochy z krainy poległych, daję im nowe życie, ludzie wstają z martwych. We mnie.

A on się tego boi.

Boi się, że trafię na kogoś, kogo zastrzelił.

Powiedział mi kiedyś, żebym nigdy nie zjadła jego prochów.

Jeśli Bóg da, nie dotrzymam obietnicy.

Biegnę za nim pochylona, ukrywając się w mgłę poranka. Za kikutami ścian, za ogrodzeniami i murami posesji, biegnę bez opamiętania starając się, by nie uciekł za daleko. Nie chcę stracić go z oczu. Wtedy zginę. Nie będę wiedziała, co robić.

Śledzimy dwa gaziki błakające się pozornie bez celu na zachodniej granicy miasta, tuż przy wale przeciwpowodziowym nad Narwią. Tak naprawdę to nie żaden patrol, ale grupka znakomicie wyszkolonych radzieckich żołnierzy. Zatrzymują się na głównych drogach wylotowych i ustawiają jeże żelbetowe. Spodziewają się czołgów? Nie wiem, ale musimy się spieszyć.

Zeszłej nocy Bartosz pokazał mi akta. Nie zdążył nauczyć się czytać, a nawet gdyby potrafił, nie mógłby znać cyrylicy. Ja znam.

— *Kryptonim akcji: Gorkim 7. Trzy wozy GAZ-67. W każdym po cztery osoby. Pełne uzbrojenie piechoty i dwa RPG. Pełna gotowość do walki — czytałam. — Punkt docelowy: Ostrołęka, lewy brzeg Narwi, półtora kilometra na północ od zniszczonego ratusza. Zadanie: przechwycić w umówionym punkcie informacje o punktach oporu w okolicach Białegostoku. Informator ujawni się na hasło.*

Mały doszedł do wniosku, że trzeba ukatrupić kapusia. Na pytanie — po co? — odpowiedział tylko:

— Bo tam giną nasi.

Lecz to tam, a nie tutaj. Tutaj już prawie nikogo nie ma. Oprócz nas. I tamtych — Wehrmachtu i Czerwonoarmistów. Miasto jest martwe. Niedobitki się nie liczą.

Rozstawiają jeże i montują kaemy. Z jednego z wozów wyskakuje kwiat radzieckiej piechoty. „Czerwona gorączka” — tak na nich mówimy. Najlepsze wojsko świata, prawdziwi mordercy. Pięćdziesięciu takich zabrałoby ze sobą do piekła cały Berlin. Widzę ich dumę; promieniuje wkoło, rozpuszcza się w porannym świetle. Ich sylwetki przedzierają się nawet przez mgłę, choć dam głowę, że potrafią zniknąć, zanim ktokolwiek mrugnąłby okiem.

Nikt nie przeżył, aby o tym opowiedzieć.

Bartosz rozplywa się w oddali. Jest szybki, zwinny, zna teren. Każdy kamień jest tu jego, każdy szary kwiat i wszystkie szkarłatne plamy krwi na kocich łbach. Bezszelestnie frunie przez mlecznobiałą zawieszynę, która gęstnieje coraz bardziej.

Żmijka. Mały łowca.

Gonię go najciszej, jak tylko się da.

Dwa

W tej piwnicy też na mnie czeka. Rudy ktoś, martwy ktoś. Mocne ramiona, dłonie jak łopaty. Posągowe nogi i blada cera. Ani za młody, ani za stary. W sam raz na śmierć.

Czujnym spojrzeniem łowi moje ruchy, sprawia, że krew odpływa mi z palców i dłoni. Muszę się zatrzymać. Zastygam więc, bo on tego chce. Daje mi do zrozumienia, że w tym miejscu, w tej piwnicy, której jeszcze nikt nie ogołocił z drewnianych krzesel, starych, zepsutych konfitur i słoików kiszonych ogórków; w tym właśnie pokoju, gdzie leży jeszcze jego złamany niemiecki karabin i spoczywają jego prochy, to on jest panem.

Umarli są przywiązani do miejsc. Nie mogą ich opuścić. Choćby mieli skrzydła jak anioły, nie polecą do bram niebios, by zbudzić ze snu Piotra z Tarsu.

— *Schlafende Hunde soll man nicht wecken* — mówię.

Uspokaja się.

— Pozwól mi — szepczę.

Podnosi dłoń i zaciska w pięść.

— Mam już wielu — dodaję.

Patrzy zdziwiony. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Z tą miną wygląda jak skrzywdzone zwierzę. Wyjątkowo piękny drapieżnik. Osądza mnie, ocenia, co powinien zrobić. Sędzia — sprawiedliwy, choć miłosierny egzekutor odwiecznych, naturalnych praw.

Opuszcza rękę, a ja zgodnie z jego wolą staję się zwierzchnikiem kolejnego życia umarłego na posterunku polskiego partyzanta.

Omiotam wzrokiem piwnicę. Ostatni rzut oka i pomruk uznania — „więc tutaj był twój bastion? ”. Zamyka oczy i pochyla głowę. A ja pochylam się nad prochem.

Zjadam kolejną duszę. Stawiam następny znicz.

*

— Pamiętacie Westerplatte? — pyta Hiena.

Kogo?

— No, Westerplatte. Sucharski, Dąbrowski, ten pieprzony pancernik...

Schleswig-Holstein.

— Czyli jednak pamiętacie.

Jak, kurwa, mamy zapomnieć? Cały czas o tym gadasz... Nic tylko Westerplatte, prawie dwustu żołnierzy, a bronili się tydzień przed niemiecką zawieruchą. Tylko te bohaterskie, cholera, wyczyny, sama słodycz...

— .. a ja ci powiem, Hiena! — wykrzykuje Brzytwa. — Że szablę mu zostawili?! I co z tego? Teraz pewnie gnije w ziemi i na nic to wszystko. Chcesz, to ci skombinuję nóż, będziesz miał podobne żelastwo jak Sucharski. Będziesz mógł się ogolić po wojnie jak każdy prawdziwy mężczyzna. Czy zarznąć teraz siebie uczciwie na zewnątrz, żeby tu nie brudzić. Znajdź jeszcze kilku i czwórkami do nieba będziecie szli, kurwa. Może do piekła, tutaj to już bez różnicy. Chciałbym cię tam zobaczyć, przy kaemie, jak sikasz w portki ze strachu, tak jak i oni. Jak się modlisz, do Najświętszej Paniienki, żeby spojrzała na ciebie przychylnym okiem w złą godzinę. I jeszcze wyobrażam sobie ciebie skulonego jak pies, kiedy przychodzi Niemiec i bierze cię za kark jako jeńca, bo jakiś major nie wziął pod uwagę, że masz jeszcze dwa naboje w kieszeni. Bo, mój przyjacielu, zapewniam cię, że oni nie cieszyli się, gdy po nich przybyli. Zapewniam cię, że żaden nie był z siebie bardziej dumny niż ja, który przeżyłem pięć lat wojny.

Nie mamy światła. Nie ma ogniska, bo nie ma już co palić. Wszystkie pobliskie piwnice już dawno zostały splądrowane, a te nieliczne pozostałe i tak są zbyt daleko, zostają więc nam chyba tylko nasze szmaty, które udają, że kryją nas przed chłodem nocy. Bo z gruzów nie da się stworzyć ognia. Z drzazg też nie. Tych zawsze jest ogrom, ale nigdy nie jest za dużo. Na nic nie starczą.

Bartosz klaszcze w dłonie. Słyszę cichy, dziecięcy śmiech tuż obok. Nigdy nie wiadomo, kiedy wchodzi. Porusza się bezszelestnie jak kot. Mały drapieżnik, morderca szcurów.

Mięsożerca. Groźny mięsożerca.

— Brawo, Janek — mówi hamując śmiech. — Kiedy dorosnę, chciałbym być taki, jak ty.

Wojna zmienia ludzi. Przemienia ich z małych dzieci w dorosłych skurwieli.

— Masz coś dla mnie? — pyta Bartosz.

Huk rzucanej na podłogę przesyłki odbija się od ścian. Kaszlę. Kurz i brud podniosły się. Zakrywam usta i nos dłonią, po czym patrzę w górę. Z ogromnej dziury w dachu widać gwiazdy. Lekko, niedokładnie schowane za welonem cienkich chmur, patrzą na mnie.

Brzytwa wychodzi.

— Dzieciaku? — odzywa się Hiena. — Masz coś do jedzenia?

Mały nie odpowiada. Na głupie pytania nie ma odpowiedzi. Być może Bartka już nie ma? Może poszedł w noc, do swojej nory. Do innych

dzieci, które chowa przed ludźmi, aby nie stała im się krzywda. Zostało nas nieco tutaj, nie wszystkich zabrała Armia Czerwona. Wzięła tych, którym zabrakło dobrych kryjówek. W mieście pozostało około trzydziestu ludzi — kilkoro w wieku Bartosza, z pięć kobiet, jakaś grupka Polaków na bagnach po wschodniej stronie Ostrołęki, trochę niemieckich niedobitków pełzających wśród ruin niczym tchórzliwe szczury, dwójka Rosjan i jeden Żyd.

Hiena, którego imienia nikt prócz mnie już nie pamięta.

Podnoszę się i wychodzę za Brzytwą. Noc jest dość jasna i przyjazna — nie wieje wiatr, jednak zimno doskwiera. Zsuwam czapkę niżej, na uszy i wkładam dłonie do kieszeni polowej kurtki niemieckiej. Idę przez dawną Ratuszową, która teraz przypomina kretowisko. Małe leje po bombach, wyrwy po granatach, bezkrwawe rany po kulach na kikutach ścian budynków — moja ojczyzna. Od dawna nie było tu żadnego patrolu, nie widziałam nawet żadnych żołnierskich cieni. Mimo to kroczę cicho, skulona, rozglądając się czujnie wokoło.

Z lasu po drugiej stronie Narwi wzbil się do lotu bocian. To cud, że ocalał w tej wojennej zawierusze. Przystaję na chwilę, przytulona do połamanych drzwi jakiegoś domu, w którym już nikt nie mieszka i widzę jak zatacza krąg nad lasem. Jest piękny i dostojny. Jak ostatni polski samolot na wrześnieowym niebie w trzydziestym dziewiątym.

Jak nasza porażka.

Jak bocian bez gniazda.

Mijam były posterunek niemieckiej policji i przeskakuję mały płot. W dole, w wielkim rowie czai się trudno dostrzegalna kłapa. Zsuwam się, raniąc boscie nogi o gruz i pukam. Wystukuję kod, starą piosenkę, której nawet nie znam. On zna. To wystarczy. Po paru chwilach wrota do jaskini Brzytwy uchylają się i na moją twarz pada wątle światło.

— Jesteś sama?

Kiwam głową.

— To wchodzi — i przepuszcza mnie przez ciasną dziurę w ziemi.

*

— Jesteś sama?

Kiwam głową.

— To wchodzi — i ze smutnym uśmiechem podaje mi rękę, abym weszła. W jego domu wszystko jest na swoim miejscu, a jednak nic nie jest jak trzeba. Surowa doskonałość porządku, dusząca atmosfera oczekiwania i on, stojący prawie na baczność, jakby połknął kij — wszystko to jest takie jak kiedyś, a jednak inne. Nie ma Kryśki; uroczej, choć nieco zbyt temperamentnej kobiety. To ona wypełniała tu każdy kąt, a jej głos rozbrzmiewał ze wszystkich stron naraz. Bez niej dom jest pusty.

Zaprasza mnie do salonu z żółtą tapetą w kwiatowy motyw. Wysoki

sufit pozwala na trzymanie wielkich, oszklonych szaf z książkami i rodzinnymi zdjęciami. Na ławie przy fotelu stoi popielniczka pełna niedopałków. Popiół osiada obok niej — pierwsza niedoskonałość gniazda Janka, pierwszy okruch życia, jaki tu widzę.

Przychodzi z zaparzoną miętową herbatą. Aromat drażni nozdrza, wywołuje mimowolny uśmiech na twarzy. Upijam łyk i czuję orzeźwiająco ciepło. Po dłoniach rozchodzi się mrowienie. Czterdziesty rok zaczął się wyjątkowo zimno.

— Żadnych wieści? — pytam.

— Nie — odpowiada.

— Nawet listu?

— Nawet.

No tak. Aby podać list, musiałyby kogoś przekupić, a nie miała czym. Poza tym i tak gdyby się udało, nie byłoby żadnej pewności, że list w ogóle dojdzie.

Mało kto chce już pomagać komukolwiek. Tym bardziej mężowi Polki, którą zabrali Niemcy. Stado wilków jest wszędzie, tropi z nosem tuż przy ziemi. A za miedzą Ruscy, na południu Gubernia. Ostrołęka siłą rzeczy stała się miastem szpiegów. Jednym z ważniejszych miast Tysiącletniej Rzeszy, Czerwonego ZSRR, a także żydowskiego narodu, który nie miał gdzie ująć, otoczony z każdej strony wrogami.

— Nigdy nie straciłaś nikogo na wojnie? — zadaje pytanie, wpatrzony w śmieciarza za oknem.

— Nie, rodzice tamtą wojnę spędzili bezpiecznie w Szwajcarii. A gdy wróciliśmy do kraju, co było marzeniem ojca, mogli wreszcie umrzeć po swojemu i na swoim. Z czego zresztą skorzystali pięć lat później.

Upijam kolejny łyk i wyciągam papierosa.

— Mógłbyś chociaż opróżnić popielniczkę — mówię, by mówić. Bo cisza nie przystoi w martwym domu.

— To jak w kinie, gdy oglądasz film — słyszę.

Marszczę czoło ze zdziwienia.

— Siedzisz w ostatnim rzędzie z naładowanym pistoletem w dłoni i wiesz, że w tej samej kolumnie, ale w rzędzie pierwszym siedzi Bóg z Okiem Opatrzności obserwującym każdego. Miejsce obok ciebie jest puste, bo ktoś, kto miał się pojawić, zniknął. I zanim skończy się seans, masz ochotę wybić każdego, kto siedzi przed tobą, by dojść do Niego. Po prostu strzelić w tył głowy, zupełnie bez emocji, satysfakcji i żalu. Każdemu po kolei wypalić w łeb, tylko po to, żeby być przy nim. I On cię obserwuje, widzi wszystko, co robisz. Żadna iskra desperacji nie umyka Jego spojrzeniu. W końcu płoniesz, mordując następnego człowieka, dziesiątego, dwudziestego, nieważne ilu, przecież i tak przestajesz liczyć. I tak nie obchodzi cię nikt inny, tylko ten, kogo nie ma obok.

Milknę. Ani na moment nie odrywa wzroku od okna.

— A co, gdy dochodzisz do drugiego rzędu i mierzysz lufą w głowę Boga? — ośmielam się.

Odwraca się ku mnie; widzę łzy na jego policzku.

— Jego już tam nie ma. Zostało tylko Oko. A film się kończy i trzeba żyć dalej, z piętnem na ramieniu, samotnie — odpowiada.

*

Przystanął, czeka. Po chwili dobiegam, zdyszana i spocona na całym ciele. Pozwala mi odetchnąć, nabrać sił. Obserwuje otoczenie. Jesteśmy przy murach kościoła farnego, schowani bezpiecznie. Kobieta i dziecko.

Ten w czapce uszance to dowódca. Wymachuje nerwowo dłonią w czarnej rękawiczce i krzyczy na podwładnego. Nie musi, żołnierz wie, co robi. Gdyby nie wiedział, nie przeżyłby ani dnia na wojnie. On nie pies, nie wystarczy strzelić mu w głowę, by zabić. Trzeba jeszcze wyrwać chęć do życia. Dowódca więc, wysoki mężczyzna z długą, siwą brodą (prawdziwy Dziadek Mróz), krzyczy i irytuje się dla zasady. Nie chce, by ktokolwiek zapomniał, po co tu są.

Wreszcie wsiada do gazika, ale jeszcze nie rusza. Kolejne cenne sekundy, kolejny oddech. Jeśli pisnę choć słowo, usłyszą nas i dopadną. Jednak zaraz odjadą, a nam pozostanie już tylko bieg za nimi, na granicy wytrzymałości i bezpieczeństwa. W każdej chwili może nas dosięgnąć seria z pepeszy. Pogoda nam sprzyja. Niewiele widać. Może nie trafią?

Z południa nadjeżdża ostatni z wozów. Soldat siedzący obok kierowcy wyskakuje z pojazdu i biegnie do oficera. Salutuje niedbale i szybko coś referuje. Wskazuje ręką na południowy-zachód, na Olszewo Borki albo na Kruki. Przełożony kiwa głową i nakazuje ruszać.

Otwieram usta, by zadać pytanie, ale w ostatniej chwili rezygnuję. Spoglądam tylko na Bartosza, jak gdyby wiedział, o co może chodzić. We mgle jego skóra wygląda bardzo blado, widać to nawet przez brud pokrywający jego ciało.

Dwa gaziki ruszają, jeden zostaje. Chwila wahania i ruszamy na północ, do miejsca docelowego. Biegnę, potykając się o własne nogi, byle dalej, aby prędzej. Mały oddał się coraz szybciej. Pruje niczym szybka łódź przez fale, nabiera wiatru w żagle i tyle go widzę. Jednak słyszę tupot jego stóp.

Biegniemy we mgle.

Trzy

Ten chłopiec zginął na bagnach po wschodniej stronie miasta. Umarł tuż przy starym, spróchniałym dębie, w otoczeniu bezlistnych gałęzi, w łożu z błota. Z nożem w plecach.

Został zamordowany. I choć wszyscy, którzy się tutaj obrócili w

proch, zostali zamordowani przez Niemców opuszczających miasto lub przez Ruskich, którzy przeszli tędy z pochodnią furii, to on poległ inaczej. Jego ciało zostało spalone niedawno, a oprawcy odeszli stąd prawie dwa miesiące temu.

Zabił go ktoś, kto ocalał w pogromie.

Ktoś z nas.

Franek — to jego imię. Wyczytuję to z jego dłoni, której popiół właśnie zjadam. Mówią mi o tym jego paznokcie, żyły i skóra. Miał siedem lat — pochłaniam tę wiedzę wraz z jego sercem, którego już nie ma. Był sierotą — odzywają się we mnie jego prochowe wspomnienia.

Siedzi niesamowicie spokojnie pod swoim dębowym grobem i patrzy na mnie wielkimi, okrągłymi oczyma. Czeka. Nie płacze, nie mówi, nie skacze opętany gniewem. Zna mnie, wiem to. Odnajduję swój obraz w jego spoielonych oczach. Widział mnie nieraz, choć ja jego nigdy.

Szedł za kimś... Przyczajony w krzakach, obserwował skulonego i ostrożnego mężczyznę w starym kożuchu. Podążał jego śladem przez całe zrujnowane miasto. Kluczył zdewastowanymi ulicami przypominającymi zatruty, betonowy ogród, czołgał się pod obdartymi, podziurawionymi ścianami, wyglądającymi jakby zdobiły je demoniczne freski. Śledził, aż do bagien.

Widział, jak mężczyzna podbiega do dębu i w jedną ze starych szczelin strzaskanego pnia wsuwa zawiniątko. Patrzył, jak obcy odbiega szybko w kierunku doszczętnie zniszczonych kamienic i znika w przytulnych, szarych ramionach opuszczonego miasta.

Płaczę. Trudno jest utrzymać spokój, nawet po tylu latach. Jest coś nieprzyzwoitego w tym wszystkim. Łzy nie powinny płynąć, gdy widziało się tyle koszmarów. Nie mam powodu do rozpacz, a jednak trzęsę się jak w febrze. I choć lament nie ma sensu, pozwalam sobie na odruch człowieczeństwa.

Chyba po to, żeby nie zapomnieć o tym, kim jestem.

Powiernik setek dusz przestaje myśleć o sobie.

Tożsamość gdzieś się gubi i człowiek zmienia się w zamkniętą dla samego siebie pustą księgę. Jest okiem opatrności dla innych, a nie może spojrzeć w głąb siebie.

Następna garść prochu i dzieciak podchodzi do drzewa, z początku ostrożnie, czujnie, potem coraz szybciej. Goni go ciekawość, siedmioletni pęd do poznania najgłębszych tajemnic świata schowanych w starym pniu. Myśli o tym jak o bajce. Słyszał w swoim życiu tylko jedną opowieść, ale nie zachował jej w myślach. Po prostu wie, że ktoś mu kiedyś coś opowiadał. I nie było to o tym, co widział wokoło.

Podbiega do dębu i sięga w głąb drzewa. Mocuje się z ciasnotą skrytki, ale w końcu wyciąga zawiniątko. Zwykły szary papier przewiązany sznurkiem. Podrzuca. Nawet nie ciężkie, po prostu

pakunek.

Wtedy dostrzega ślady stóp na mokrym, bagnistym podłożu. Dziwi się, bo do drzewa nie prowadzą tylko jedno, ale co najmniej dwa, jeśli nie trzy. Każdy z innej strony, nie najświeższe, ale jednak widoczne.

Marszczy brwi i czeka osłupiały. Trwa to jednak tylko chwilę, bo w końcu pociąga za sznurek i szybkim ruchem odwija papier. Spogląda w dół, na skarb, który znalazł, ale widzi już tylko ciemność.

Upada twarzą w błoto i dopiero wtedy czuje przenikliwy ból w plecach. Chce jęknąć, ale nie może. W ustach czuje słodki smak krwi. Ostatniemu tchnieniu towarzyszy szelest i chlupiący odgłos kroków. Jedną nogą w świecie umarłych, drugą jeszcze wśród żywych, dzieciak wie, że z jego pleców ktoś wyciąga nóż.

I żałuje, że tajemnice smakują tak gorzko.

*

— Janek... — szepczę, przygryzając wargę do krwi. — Janek...

— Zamknij się — mówi, nie przerywając sobie. — Przecież po to tu przyszedłeś.

Kupa szmat i powyrywanych kartek z książek, brązowa trawa — całe łożo. Prowizoryczne belki i stare rury podtrzymujące obsypującą się na twarz ziemię — sufit. Dziury po bokach wykopane wściekłymi, niedokładnymi ruchami — półki. Właz od studzienki kanalizacyjnej — drzwi. Dom Hieny to jama na zboczu leja po bombie. Nawet nie ziemianka.

— Nie... — mówię, ale tak naprawdę wiem, że ma rację. Tego właśnie chcę.

On sapie mi prosto w twarz:

— Zamknij się, kurwa, wreszcie.

Ostre żdźbła łąki ranią plecy, ramiona, szyję. Łzy wsiąkają w papier. Łykam kolejną porcję ziemi, wpadającą prosto w usta. Duszę się. Dzięki temu na chwilę nie pamiętam o reszcie, ale zaraz on przypomina mi ze zdwojoną siłą.

Jest tak prawdziwy, jak tylko to możliwe. Zrzuca swoją brudną, wierzchnią skórę i jest nagi. Otrzepuje się z brudu teraźniejszości i czyni to, co chciał zrobić już dawno. Czysta wściekłość — tym staje się właśnie w tej chwili. Każda kropla potu z jego tłustych włosów, wszystkie szramy z licznych, starych ran — wszystkie pozostałości jego przeszłego życia łączą się ze sobą na nowo, choć inaczej, mocniej. Nie ma już w nim zgorzkniałych tajemnic, ukrytych duchów dawnych dni. Cały krzyż, jaki nosił na barkach, ląduje gdzieś obok, niepotrzebny.

Wreszcie jest sobą, widzę to w jego twarzy. I choć brutalna siła kieruje jego ruchami, bezczelna gwałtowność tkwi nawet w najmniejszym geście, to takiego chcę go mieć — prawdziwego. Uzewnętrzniiona furia zamiast tłamszona wewnątrz gorycz.

Wiem, że teraz nikogo nie udaje. Chce się zemścić za to, co było. Wojna zmienia ludzi w skurwysynów.

Mnie też zmieniała. Jestem ofiarą — jego, innych, świata. Przyjęłam brzemię zmarłych. Ich ból stał się moim bólem. Nazywam się ukojenie. Jestem ukojeniem — dla każdego oprócz siebie. To mnie spala, deformuje, wypacza, ale z tego właśnie biorę siłę. Opuściłam swoje ciało, oddałam się czynnie i biernie. Mój brak walki stanowi opór sam w sobie.

Przynajmniej tak chcę się oszukiwać. W to właśnie pragnę wierzyć.

Kiedyś był inny, ale tamte czasy minęły. Za dużo się stało, za wiele straciliśmy, aby dziś stać nas było na godność. Tak stajemy się wolni, jednocześnie będąc więźniami rzeczywistości. On — oprawca, ja — ofiara. Tylko tak możemy znaleźć spokój. To jedyny sposób, aby złamać kajdany — dać się zakuć. Może oddam w ten sposób to, co zabrałam jakieś cztery lata temu.

Kilka niedbałych, konwulsyjnych ruchów i Brzytwa zwalnia. Nadgarstki przestają piec, za to lekko mrowią mi dłonie. Wreszcie dochodzi do nich krew. Uchwyt zelżał, a ja przymykam oczy.

Gdy uchylam powieki, widzę go ponownie w masce kogoś innego. Zmęczona, zacięta twarz, ta sama co przed chwilą, a jednak zupełnie inna. Już bez wyrazu.

— Wyjdź — rzuca.

— Janek... Ja...

— Wyjdź.

Wsuwam więc spodnie i rozmasowuję dłonie. Nie ma nawet miejsca, by się porządnie rozciągnąć, a co dopiero wstać. Trzeba precyzyjnie się do wyjścia nad kupą śmieci, które gromadzi Brzytwa. W półmroku dostrzegam małą szkatułkę. Jest cała w piasku, ma nieznacznie pęknięte wieko, ale rozpoznaję ją. To pamiątka po żonie — istna puszka Pandory. Gdyby ją otworzyć, wszelkie widma demonów przeszłości wróciłyby na dobre i nie pomógłby nawet wyuczony chłód oraz cynizm Janka.

Odsuwam klapę i wypełzam w ciemną noc.

*

Otwieram drzwi i widzę korytarz tonący w mroku. Wchodzę, choć coś podpowiada mi, żebym się powstrzymała. Jakby cała krew z mojego ciała nagle opadła do nóg, nie mogę nawet unieść stopy. Jednak cicho wkradam się do środka mojego własnego domu.

Nie zapalam światła, ale i tak widzę porozrzucane płaszcze i kurtki z szafy w przedpokoju. Gdzieś w salonie, na granicy widzialności, majaczy mi roztrzaskany regał, a wokół niego książki. To moje podręczniki do łaciny i rosyjskiego, ale nie tylko. Wiem, że pośród tego całego bałaganu leży Tuwim, Prus, Puszkina. Obok nich Rimbaud, którego

stronami kołysze wiatr wpadający przez rozbitą szybę do pokoju. Oto „Statek pijany” — szeleszczące kartki na podłodze, sztorm zniszczonej biblioteczki. A tuż za tym Grabiński. Horror.

Głosy dobiegają z piwnicy.

Uciec, czy zostać? Zejść, czy stać? Załamać ręce, czy wziąć do ręki drąg i ruszyć na spotkanie losu?

Potykam się o buty na wysokim obcasie i upadam z hukiem, który musiał rozejść się po całym domu. Jednak nikt nie wybiega z dołu. Głosy nie ustają. Ktoś się śmieje, inny mówi spokojnym tonem, kolejny tłucze w coś z pasją.

To odgłos rozłupywanej czaszki. Nigdy wcześniej go nie słyszałam, ale mimo to wiem, że musi tak brzmieć.

Romek.

Kurwa, Romek...

Znaleźli go. Musieli go znaleźć...

Zbiegam po schodach nie zważając na nic. Pędzę w dół na złamanie karku. Nie słyszę żadnej ze swoich myśli, tylko dźwięki dochodzące z dołu. Przytłumione poprzez drzwi, ale i tak nader wyraźne.

Dopadam piwnicy i wbiegam z impetem. Stoją w piątkę, oparci o ściany i stare, zakurzone meble. Mundury SS, blond włosy, wyprostowane, szczupłe sylwetki. Duma bijąca z twarzy, buta wyzierająca z każdego ruchu, wyższość wibrująca w ich śmiechu. A ja sama, wpatrzona z przerażeniem w ich szyderczą krzątaninę, z miękkimi kolanami i duszą na ramieniu.

Jeszcze można uciec... To żadna hańba...

Ale on leży... Te oczy, usta... Patrzę na niego i na myśl przychodzą mi spalone Sodoma i Gomora. I już wiem, że nie opuszczę go w tej ostatniej minucie. Ukrywałam go przez rok, nie mogę teraz się odciąć.

— Co my tu mamy? — mówi Niemiec nienaganną polszczyzną. *Hochsturmmannführer*, poznaję po pagonach na ramieniu. — Gospodyni.

Szczęk odbezpieczonego pistoletu.

— Zrobi nam pani tą przyjemność i usiądzie — wskazuje lufą krzesło naprzeciwko ledwo dyszącego Romka. — Chcemy poznać odpowiedzi na kilka pytań.

Chwila zawahania i już czuję mocny uścisk na gardle. To ten stojący najbliżej drzwi. Nie czekał, aż pokornie przystanę na propozycję, postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Dosłownie.

Podnosi mnie lekko w górę i ciągnie przez piwnicę. Trzyma tak mocno, że nie jestem w stanie nawet wierzgać.

Łąduję na krześle, rzucona jak szmaciana lalka. Chcę schylić się, dotknąć Romka, ale powstrzymują mnie.

Teraz widzę dokładnie twarz przyjaciela. Potworność.

— Więc tak według was powinien wyglądać człowiek? — pytam.

— Tak powinien wyglądać Żyd — słyszę.

— Zwierzęta — pluję majorowi pod nogi.

Gwar cichnie i słyszę tylko świszczący oddech skatowanego. Łapie powietrze jak ryba wyłowiona z wody. Patrzą na odsuniętą szafę, do jego kryjówki. Lampa naftowa pali się mocnym, jasnym światłem. To dlatego go zauważyli. Musieli obserwować dom już wcześniej, a gdy tylko upewnili się, że piwnica kryje nie tylko stare meble, weszli i go znaleźli.

A zawsze powtarzałam, że nie powinien się niczego obawiać. Mówiłam, żeby świecił sobie, poczytał, bo inaczej oszaleje. Siedzieć w ciemnicy kilka miesięcy, skulonym i nieustannie nasłuchującym każdego szmeru — żaden człowiek na to nie zasługuje.

Okazuje się, że tak byłoby lepiej.

Niemiec pochyła się nade mną i kiwa głową do podwładnego. Już nic nie krępuje moich ruchów, siedzę wolna.

— Bądźmy szczerzy — mówi *Hochsturmmannführer*. — Odpowie pani na pytania z własnej woli.

Spoglądam na niego zdumiona.

— W końcu lepiej po dobroci, prawda?

Otwieram usta, ale nie śmiem nawet pisnąć. Jest coś w jego oczach, co każe mi milczeć. To nie jest zwykły esesman, choć na pierwszy rzut oka na takiego wygląda. W jego perfekcyjnie ułożonych blond włosach tańczy diabeł, a wąskie usta poruszają się tylko nieznacznie. Oczy płoną ogniem pewności siebie. Tylko w tych ruchach, iście komediowych, jakby grał sztukę dla tysięcznej publiczności, tkwi odstępstwo od reguły. Niewymuszone, improwizowane gesty, naturalna swoboda i świadomość swojego ciała — to zupełnie inaczej niż wszyscy Niemcy, których widziałam. Cała reszta to automaty przebrane za ludzi, podczas gdy on jest człowiekiem przebranym za automat.

I dlatego przez plecy przebiega mi dreszcz strachu.

— Obserwowaliśmy ten dom od dawna. Zbieraliśmy informacje. Wiemy doskonale, że ma pani kontakty z ludźmi nielegalnie ukrywającymi żydowskich bandytów. W domach tych wywrotowców właśnie przebiega przeszukanie, tak jak tu. Z pewnością jednak kogoś przeoczyliśmy i tutaj właśnie liczymy na panią.

— Nic mi o tym nie wiadomo — silę się na niepewny uśmiech.

Delikatny ruch głowy majora i do leżącego dopada dwójka żołnierzy.

— Pani i tak powie — słyszę.

Spoglądam na twarz Romka, ale nie jestem w stanie nic z niej wyczytać. Nawet jeśli wyrażałaby niemą prośbę o śmierć, pomoc, cokolwiek, i tak bym jej nie dojrzała.

— Nazwisko — napomina *Hochsturmmannführer*.

Zaciskam pięści. Trzeba było uciec, póki czas.

Najtrudniej jest patrzeć, jak z kogoś ucieka życie.

— Nazwisko.

Zamykam oczy, ale rozdzierający serce ryk otwiera je ponownie. Długi niemiecki nóż wyżyna płat skóry z dłoni torturowanego. Jego krew skapuje obficie na podłogę i płynie w moim kierunku. W akompaniamencie potwornego wycia słyszę swój krzyk.

Wykrzykuję pierwsze nazwisko, jakie przychodzi mi do głowy.

Nazwisko Janka.

*

Mgła prowadzi na północ. Jest wszędzie — za mną, przede mną, nade mną, pode mną. Przez chwilę wydaje mi się, że osiadła także we mnie i biegnę z nią sama goniąc świat, który zniknął. Oto kurtyna, zza której dobiegają tylko odgłosy wojskowych samochodów i szelest ździebeł trawy deptanych przez pędzącego przede mną Bartka.

Jednak głośniejsze są słowa rozbrzmiewające w mojej głowie. To pamięć się odzywa, wspomnienia martwych ludzi. Wszyscy pożarci, jak na komendę, rozpoczęli taniec chorych, gorzkich słów. W moich myślach warczą i uśmiechają się, odsłaniając wilcze zęby. Przenikają przez brudnoszarą chmurę wyobrażeń i swoimi pełnymi obrazów, ale pustymi marzeniami, zastępują moje własne.

Wiem, co to oznacza. Zawsze odzywają się, gdy nadchodzi śmierć.

Nigdy jednak nie byli tak silni.

Przystaję i rzygam na wilgotną trawę. Nie pomaga.

Gdzie jest Bartosz? Gdzie ten zapluty gówniarz, gdy go potrzeba?

Klękam na jedno kolano i ostatkiem wolnej woli łapię się złamanego pnia brzozy. Spazmatyczne drgawki przechodzą po całym ciele i już nie wiem, czy to, co widzę, to jeszcze mgła, czy już obłąd. Każdy wrzeszczy. Igły w głowie, młoty pod czaszką. Odgłosy wystrzałów. Klątwy, prośby, błagania, strzały.

Jakaś dłoń chwyta nóż. Ktoś chowa się za murem. Pędzące jak błyskawice kule, rykoszety. Opiekuńcze ramiona babci Ireny, przerażenie małego harcerza Tomka. Zdziwienie i ciekawość Franka. Gorycz Aliny, niedoszłej matki. Krew w jej pępowninie, ciche bicie serca nienarodzonej Jadzi. Strach tchórzliwego Andrzeja, który wybrał siebie zamiast rodziny.

Pierwszy wybuch. Dłoń na mojej twarzy.

Drugi wybuch i cisza.

Odzyskuję przytomność.

— Pieprznięło dwa razy — szepcze Bartosz. — Za nami i przed nami.

Cztery

Tej wiosny wszyscy gdzieś poszli. Jeśli mieli szczęście — prosto do

nieba (w co nie wierzę). Zaś jeśli dopadł ich pech — z Armią Czerwoną na zachód, na Berlin. Tylko nieliczni zostali. Jedynie ci, którzy wrosli w to miejsce na amen, choć nie spotkali tu ani dobroci, ani nawet wytchnienia. Zaniebane przez matkę dzieci, którym jednak nie pozwolono odejść. Matka Ostrołęka nie puściła...

Wiosną czterdziestego czwartego zostałam ja, Hiena i Bartosz. Mały uchował gromadkę harcerzy gdzieś w jakiejś norze na prawym brzegu Narwi. Nigdy nas do nich nie dopuszczał, ale czasem widzieliśmy ich z daleka, gdy wyruszali poszukać jedzenia. Wiem też o kilku innych grupkach. Ukrywały się w najróżniejszych zakamarkach i ruinach, starając się przeżyć. Czasem ich spotykaliśmy i okazywało się, że opustoszałe miasto jest za małe nawet dla niedobitków.

Tak jak teraz.

— Zostaw go, wiédźmo — słyszę.

Mierzy do mnie wysoki, brudny mężczyzna. W jego jadownicie zielonych oczach odbijają się resztki domów i płotów. W lekko drżących dłoniach z długimi palcami (wprost stworzonymi do gry na fortepianie) i wypielęgnowanymi paznokciami, broń jest jakby nie na miejscu. Nieodpowiednia.

Ustaję w pół ruchu. Z zaciśniętej garści wysypuje się proch. Nie śmiem ani drgnąć. Wiem, że ta elegancka i zadbana jak na te warunki postać za chwilę może pociągnąć za spust i zmieść mi głowę z karku. Jeśli zobaczy jakiś fałszywy gest, nie zawaha się ani przez moment. Każdy, kto zdołał przeżyć tutaj choćby dzień, jest w stanie zabić w obronie swego.

A ja trzymam w garści jego towarzysza.

— Odejdź, Gaspars — pojednawczo mówi Bartosz. — On i tak już nie żyje.

— To ty odejdź, *puika*. Nie pozwolę!

Szkoda, że mały nie wziął pistoletu. Ma ze sobą tylko nóż. Powiedział, że jest bardziej poręczny i robi mniej hałasu.

Bartosz — maszyna wojny. Rzeczowy, doskonały dwunastoletni żołnierz.

Kiedyś podkrađłam mu jego pamiętnik. Gówniarz nie zdążył nauczyć się pisać, za to dużo chował w swoim zeszytcie. Liście, kawałki kości, klucze od okolicznych domów, zdjęcia, które znalazł w pogorzeliiskach. Miałam wrażenie, że z każdej strony tego małego muzeum przeszłości bije coś szatańskiego. Żadne dziecko, które znałam, nie miało takiego pamiętnika.

Ale on nie jest jak wszystkie dzieci.

— Gaspars, rzuć to — kontynuuje Bartosz. — Nic nie działasz, a tylko narobisz hałasu. Mogą się zlecieć.

— Kto? Ta *stulbenis*, te chuchra? Nie rozśmieszaj mnie. Pod ścianę,

oboje!

Wygląda jak bóg wojny — Gaspars, ten siwy, zielonooki mężczyzna, ten dystyngowany brudas. Faszysta z ostrołęckiego, przekłętego krematorium. Uczyłam kiedyś jego dzieci. Pamiętam, że za każdym razem, ilekroć stawiałam się na lekcje w jego domu, częstował mnie lampką koniaku i krzywił się z niesmakiem, gdy odmawiałam. Zawsze hardy, srogi z natury, jednak oddany kompan swoich przyjaciół oraz prawdziwa głowa rodziny. Przed wojną wiódł szczęśliwe życie emigranta w Ostrołęce. Opuścił Rosję Radziecką w 1920 roku. Nie mógł zaznać tam spokoju. Łotysze nie byli ulubieńcami bolszewików. Uciekł, schronił się tutaj w obawie przed szykanami. I znalazł spokój, który zmaćcił ogień armatni.

— Gaspars, proszę cię... — mówię.

Niepotrzebnie.

Huk wystrzału, krzyk i łopot skrzydeł. Leżę na ziemi i widzę stado przestraszonych wron i kruków. Wirują na niebie śpiewając wrzaskliwą, ptasią piosenkę. Promienie słońca zagładają pod powieki, ale po chwili wszystko traci kolory. Ciemno.

Świst przecinanego kulami powietrza i łotewskie przekleństwo. Łapię się za ramię. Czuję ciepłą krew wyciekającą przez palce. Słyszę kolejne odgłosy walki, dziecięce jęki i posapywania. Wszystko dzieje się tak szybko, ale mój czas sączy się niemiłosiernie. Każdą upływającą sekundę czuję mocno i dobitnie.

W głowie odzywają się pożarci. Szczera kły w uśmiechach drapieżnych błaznów. Wyciągają szpony ku moim wspomnieniom.

Kolejny strzał. Ktoś pada, a ja odzyskuję wzrok. Nagle czas wraca do normy i przestaje mi być słabo. Odwracam głowę i oglądam ranę. Ledwie draśnięcie, kula nie została w ciele.

— Kim jesteś? — pyta zdyszany Bartosz. Dziarsko trzyma nóż. Z koniuszka nosa spływa mu kropla potu.

Gaspars leży bez tchu na ziemi, tuż obok mnie i prochów swojego towarzysza. Mocnym, trupim chwytem trzyma karabin, a z jego ust płynie strużka krwi. Myślę, że jego też trzeba będzie spalić i zjeść, aby nie zapomnieć tego, co się stało. Pochowam go w sobie. Chociaż kolaborant, to jednak swój. W krematorium robił, co musiał. Chronił siebie i rodzinę.

Podnoszę się i opieram plecami o ścianę, by nie upaść ponownie.

Przede mną stoi Janek. Lufa jego pistoletu jeszcze dymi.

Te smutne oczy... Jakbym się cofnęła w czasie o ponad trzy lata.

Zaciskam dłoń na ranie, ale pomimo bólu nadal widzę te znajome, zniszczone oblicze. Nie mam majaków. Chcę płakać, ale nie mam odwagi.

— Dawnym znajomym — mówi Janek.

Padam na ziemię. Nieprzytomna.

*

Wzrok tego bękarta to coś, czego się nie zapomina.

Ludzie zapominają wiele ważnych rzeczy. Na litość Boską, ludzie nie potrafią często spamiętać faktów, które są dla nich tak istotne, jak dla ptaka latanie, a co dopiero po latach przypomnieć sobie oczy innych osób. Ale tego spojrzenia nie będzie mi dane wymazać z pamięci. Nigdy. Choć bardzo bym chciała.

— Więc tak to wygląda — składam papier na cztery części i oddaję Bartoszowi.

— Dzięki — bierze i chowa do na w pół zniszczonego zeszytu, w którym spoczywa przeszłość jego i wielu innych.

— To co robimy? — pytam.

— Ty nic. Ja się tym zajmę.

— Nie zostanę z Brzytwą. Nie zostanę z nim sama.

— Jest jeszcze Hiena.

— Hiena boi się go tak samo, jak i ja.

Mały znowu zerka na mnie tymi swoimi ślepiami.

— Myślałem, że między wami już dobrze?

— Pomyśl trochę. Czy może być dobrze między byłymi kochankami, z których jedno podłożyło drugiego hitlerowcom?

— Na dodatek niesłusznie.

— Nie chcę już więcej o tym mówić.

— Nie musisz. On ciągle o tym mówi.

Dzieciak robi niecierpliwy gest — wyrachowany i kpiący.

— To coś, czego się nie zapomina — dodaje.

Kiwam głową.

— Tak, wiem.

Wyobraźnia podsuwa mi widok ostatnich chwil Franka. Widzę piwnicę i ostatnią heroiczną walkę ryżego Polaka, lufę pistoletu wymierzonego w Alinę. Wszystkie znicze w mojej duszy płoną mocnym światłem.

Śmierć nie jest czymś godnym pamięci. Jednak to właśnie śmierć zapamiętać najłatwiej.

Jeśli jest komu pamiętać.

— Pójdę z tobą, mam przecucie. Coś się jutro zdarzy i nie chcę być wtedy w pobliżu Janka. Nie czuję się przy nim bezpiecznie.

— Nie? To dlaczego odwiedzasz go w jego norze po nocy? Po co do niego chodzisz, skoro nie musisz?

Odwracam głowę, tak żeby nie widział, jak przygryzam wargę. To beczelne, kłopotliwe pytanie w ustach małego nie brzmiało tak dojrzałe, jak zwykle. Gdyby spytał jak starszy człowiek, jeśliby nadał odpowiedni, szyderczy ton tym słowom, wiedziałabym jak odpowiedzieć.

Ale Bartosz nagle stracił całą magię dorosłości. Rzucił, niczym najprawdziwsze dziecko, które nie wie, po co wszyscy wokół tak komplikują sobie życie.

Gdybym mogła odpowiedzieć potworowi, jakim zwykle jest, odpowiedziałabym. Jednak teraz rozmawiam ze zwykłym, dwunastoletnim chłopcem.

— Idziemy jutro — cedzę przez zęby. — Mogę być ci potrzebna, gdy przechwycimy informacje. Nie znasz cyrylicy.

— Dobra. Tylko trzymaj się mnie.

Nagle jego mała dłoń dotyka mojego ramienia. Całkowicie zaskoczona, nie reaguję. Pozwalam sobie tylko na nieśmiały uśmiech i wtedy chwyta mnie za szyję. Miękkim, prawdziwie dziecięcym ruchem obejmuje mnie i wtula się. Czuję się jak matka-piastunka. Czuję jego ciepło.

— Nie martw się — mówi. — Będzie dobrze. Tylko trzymaj się mnie. Za oknem pada deszcz. Nie widać słońca.

— I ani piśnij.

*

Przez okno wpadają skąpane w deszczu promienie późnozimowego słońca.

— Pani nawet nie piśnie — mówi *Hochsturmmannführer*. — Prawda?

Prawda. Nawet nie pisnę. Pogrążona we wstydzie, ogłupiona swoją głupotą, zdradziecka ja — nic nie powiem. I tak powiedziałam już za wiele.

Jezu, jak tu śmierdzi...

— A pan? — Niemiec odwraca się w stronę Janka. — Pan też będzie milczał?

— Ja nic nie wiem — odpowiadają napuchnięte od razów usta mojego przyjaciela. — Nic nie wiem...

To też prawda. On nic nie wie. Skąd niby miałby wiedzieć?

— Gdzie pan chowa buntowników? — pyta major po raz kolejny.

— Jakich buntowników?! — Janek całym sobą krzyczy rozpaczliwie w jego stronę. — Ja nikogo nie chowałem!

Chcę go wspomóc, wytłumaczyć, ale to na nic. I tak już nie uwierzą, że nic nie zawinił. Wrzasnęłam jego nazwisko, to wystarczyło. Prędzej czy później zabraliby go tutaj, do więzienia, nawet bez powodu, wszystkich by wzięli, ale to i tak mnie nie tłumaczy. Spanikowałam. Wydałam niewinnego. Boże, Ojczy nasz, w opiece swej nas miej...

— Pana towarzyszka powiedziała nam co innego.

Cały jest posiniaczony. Półnagi, zlany potem, emanuje złością. Zakrwawione oko Janka patrzy na mnie z nienawiścią. Drugiego nie widać spod opuchniętych powiek.

Czuję się jak skazana na piekło. Potępiona za życia, pochowana z

bijącym sercem, rozdzierana wyrokiem winy, osądzona przez drugiego człowieka. Klamka zapadła, nie można odwrócić losu. Nie powiesz gestapowcowi, że krzyczałaś byle co, aby tylko nie zabijali na twoich oczach.

I jeszcze ten otępiający odór...

Katowska dłoń opada na twarz Janka po raz kolejny. Zmiata go, słabego, na podłogę i zaraz żołnierski but celuje w nerkę. I znowu... I raz jeszcze... Nie krzyczę, to bezcelowe.

Po chwili *Hochsturmmannführer* odwraca się do mnie. Wskazuje palcem leżącą bezsilnie półżywą powłokę ludzką.

— Wie pani, że jeśli on nic nie powie, będzie bity dalej?

Milczę uparcie.

— A czy pani wie, że nie tylko bity? Będzie skamlał o śmierć, ale osobiście zadbam, aby nikt nie spełnił tej prośby.

Spuszczam głowę i widzę plamy krwi na nogach, na drewnianej posadzce. Są wszędzie, nawet na mojej twarzy.

— Pani by mogła mu ulżyć.

Krew i coś jeszcze. Jakby... pył? Popiół? Rozglądam się na boki, ale nie widzę niczego szczególnego. Ot, zwykłe pomieszczenie. Jeden mały lufcik z brudną szybą, a za tym krata. Dwa stare krzesła na środku, a także pancerne drzwi naprzeciwko. I ściany z cegieł pokrytych sadzą...

Sadzą?

Dostaję w twarz i osuwam się na ziemię. Ciepło rozlewa się po policzku, a w uszach trzeszczy. Cały czas czuję smród. Paskudny zapach spalonego mięsa.

Nim zdążę zrobić cokolwiek, za włosy chwyta mnie ręka gestapowca i podnosi do góry. Z jękiem bólu wstaję i pozwalam sobą miotać na wszystkie strony. Otwartą dłonią uderza mnie kolejny raz.

— A teraz przejdziemy na „ty”, polska dziwko! — rzuca mną o ścianę. — Powiesz mi zaraz, gdzie jeszcze chowacie Żydów!

Zbieram się na odwagę i pluję Niemcowi prosto w twarz. Uśmiecha się w odpowiedzi tym swoim niemieckim arcygrymasem, w którym nie potrafi ukryć gniewu i zniecierpliwienia. Puszczą mnie i opadam. Skulona tuż przy ścianie pozwalam sobie na łzę. Płaczę jednak nie nad sobą, a raczej nad Jankiem i Romkiem...

Hitlerowiec odchodzi dwa kroki w bok i dopiero teraz moim oczom ukazuje się wielki piec, który wcześniej miałam za plecami. Tuż obok stoją nosze, a na nich zaschnięte plamy krwi i sadzy.

Piec na ludzi.

Hochsturmmannführer otwiera włącz i ze środka bucha jeszcze gorący żar oraz obezwładniający smród. Mrużę powieki i kaszlę. Janek też kaszle. Po chwili, gdy oprawca wsuwa rękę do środka i wyjmuje parujący popiół ludzkich zwłok, zastygam w bezruchu.

Podbiega do mnie i zdecydowanym ruchem podciąga w górę. Łapie za szczękę i palcami otwiera usta. Czas zastyga, a ja podskórnie czuję wzbierający lęk. Nie jestem w stanie się wyrwać. Trzyma zbyt mocno. Kopię... Kopię jak zwierzę w klatce, ale nie robi to na nim żadnego wrażenia.

Zbliża umazaną pyłem garść do mych ust. W głowie natłok myśli, umysł zalewa mi strumień czerni. Spękane wargi dotykają popiołu, na język spada piekący proszek ze spalonego człowieka. Niemiec wpycha na siłę, choć wierzgam ile sił.

— Przetykaj! Przetykaj, mówię!

Przetykam. A potem padam jak martwa.

Ogromny ból palonej skóry, pieczonego żywcem mięsa. Skóra odkleja się od ciała, umierająca, ale jeszcze nie umarła świadomość, wyżerające dziurę w głowie płonące włosy. Wyschnięte na wiór gardło wrzeszczące agonalne dźwięki, język poskręcany jak papier i drgawki...

Major Gestapo puszcza, a ja upadam bezwładnie. Rzygam. Rzygam wraz z krwią.

I wiem, że zjadłam proch człowieka spalonego żywcem.

Zanim tracę przytomność widzę, jak garść popiołu ląduje w ustach Janka.

*

— Pieprznęło?...

— Wstawaj! Prędko, musimy tam iść!

— Gdzie?

Spogląda na mnie wściekły. Ciągnie mnie za ramię. Powoli wstaje czując olbrzymie zmęczenie. Na nowo wracają kolory — te wszystkie odcienie szarości w jakich skąpana jest rzeczywistość. Mgła stopniowo znika.

— Dasz radę biec?

Kiwam głową. Odwraca się, ale chwytam go za koszulę.

— Bartosz, co się stało?

— Nie jestem pewien. Chyba strzały, potem wybuch. No i drugi. Z obu stron, przy moście i na błoniach, za plażą.

— Tam gdzie mieli przechwycić informacje?

— Tak.

— Ale dlaczego dwa?...

Rozkłada ręce w geście niewiedzy. Po chwili puszcza się biegiem w stronę północy. Biorę głęboki wdech i szybko ruszam za nim. Każdy krok rozpruwa mi mięśnie. Kuleję, ale mimo to, biegnę dalej.

— Bartosz! — nawołuję, gdyż mały zniknął mi z oczu. — Wolniej!

Potykam się i upadam wyczerpana tuż pod znakiem drogowym. Scharfenwiese — głosi napis. Niedługo znowu Ostrołęka — pocieszam się.

Seria z broni palnej przecina powietrze. Kule roztrzaskują pień młodej brzozy. Chowam głowę w wilgotną trawę. Nasłuchuję. Kolejne pociski, jednak żaden w moim kierunku. Jeszcze jedna seria... Ponownie wybuch.

Tym razem widzę dokładnie. Jakieś trzysta, może czterysta metrów przede mną. Pomarańczowo-czarna chmura przesłaniająca pobliskie lasy.

Nahukiwania od strony cmentarza. Daleko nie będzie trzeba znosić martwych.

Podnoszę się i już nie zważając na nic, biegnę ile sił w nogach. Po śnieżnobiałej, jeszcze parę chwil temu gęstej mgle nie został nawet ślad. Tylko powietrze pachnie rosą i prochem zmieszany z zapachem budzących się do życia drzew.

Przeskakuję gruz ze zniszczonej ściany domu i jestem coraz bliżej. Setki obrazów nieswoich wspomnień przesuwają się przez myśli. Tylko jeden z nich jest mój. Jedynie dźwięk rozkazów małych harcerzy i szczęk ich pistoletów towarzyszy mi w tej pogoni za Bartkiem. To odgłosy minionego czasu, echa akcji sprzed trzech lat, kiedy uwolniono mnie i Brzytwę z hitlerowskiego więzienia.

Nie mam pojęcia, dlaczego akurat to wspomnienie nagle stało się tak żywe. Zdążyłam już prawie o nim zapomnieć.

Zahaczam o coś i upadam. Skronią uderzam o wystający z gleby martwy korzeń. Rozcięta skóra. Krew zalewająca lewe oko.

A w myślach widzę, jak *Hochsturmmannführer* brzytwą naznacza Janka. Kolejna wymyślna tortura Niemców używana przy przesłuchaniach. Od tego zdarzenia doszło wiele nowych blizn na twarzach nas wszystkich, jednak od tej jednej Brzytwa zyskał swoje przezwisko.

Otrząsam się i ocieram oblicze rękawem kurtki. Obok mnie leży Bartosz.

— Co ci jest? — szepcze do mnie. — Jesteś blada.

Orientuję się, że drzę z zimna. Albo ze strachu. Dzieciak, nie czekając na odpowiedź, wskazuje palcem na wprost nas.

Ruscy wyrosli jak spod ziemi. Wolnym krokiem, z pepeszami w dłoniach, idą w stronę płonącego wraku samochodu. Ostrożnie kierują się do ciężarówki, z której co chwila wyskakuje człowiek. Jeden, drugi, trzeci... Czerwoni naciskają spusty i ludzie padają jak muchy. Jeśli to w ogóle ludzie...

Bo teraz są jak żywe pochodnie.

Gdzieś w zaroślach słychać krzyk i za moment odzywają się pistolety. To Polacy, ci którzy przeżyli wybuch. Schowani w gęstwinie pobliskiego lasu próbują coś zdziałać.

Jeden z nieprzyjaciół dostaje kulkę między oczy, a reszta pada na

ziemię i otwiera ogień. Płonąca ciężarówka, płonący ludzie, płonące lufy. Szczęk broni i krzyk umierających. Odszukuję ciepłą dłoń Bartosza i chwytam ją mocno.

Będzie dobrze — chcę powiedzieć, ale głos umiera w gardle.

Cisza. Zmieniają magazynki. To nasza szansa — myślę. Zza zasłony lasu wybiegają żołnierze AK. Z furją i łzami w oczach mijają ciężarówkę i biegną w stronę Ruskich. Strzały. Dwójka Czerwonych leży bez życia. Nasi są coraz bliżej, jeszcze trochę, tylko trochę...

Wybuch. Mina. I wieńczące dzieło salwy z broni wroga.

Koniec. Parę chwil i już po wszystkim.

Bartosz podczołguje się do mnie. Na jego twarzy nie widać bólu, a jedynie ten głupi, żołnierski żal. Otaczam go ramieniem i pozwalam sobie na łzy rozpacz. W odpowiedzi całuje mnie w policzek.

Mój mały gówniarz.

Gdy echa wystrzałów przebrzmiewają, ze wschodu nadjeżdża jeden z gazików. Chowam twarz w piasek, cała drżąca i bezsilna. Zamykam oczy i staram się nie słyszeć. Zniknąć, nie trzymać się życia, umrzeć tak jak oni — to najpiękniejsze i najtrudniejsze z moich dzisiejszych marzeń. Zazdroszczę im.

Mały trąca mnie w ramię. Nie reaguję. Po chwili słyszę:

— Skurwysyn.

Z radzieckiego wozu wysiada Brzytwa. Podaje rękę dowódcy. I dopiero teraz rozumiem. Wszystkie klocki układają się w jedną całość. Janek — informator. Fałszywa wiadomość... Wybuchy, miny... Bartosz wiedział, gdzie stacjonuje oddział AK-owców...

Skurwysyn.

Wstajemy jednocześnie, a mały wyciąga zza pazuchy broń. Prawdziwa Visa, jakby przeznaczona na tą okazję.

Z okrzykiem na ustach biegniemy w kierunku gazika. Bartosz pociąga za cyngiel...

I wtedy, w słabym słońcu mokrego poranka, w sercu ledwo skończonej bitwy, po raz ostatni padamy, by już nie wstać.

Koniec

Spalona ziemia niczym nie smakuje. Niczym nie pachnie, nijak nie wygląda. Ot, pas rozżarzonego piachu i kikutów drzew. Żadnego dźwięku, nawet oddechu. Miejsce wypełnione pustką, tam gdzie wszystkie strachy świata śpią snem niezwykłych.

Głębokie ślady opon po radzieckich samochodach i kule utkwione dookoła, niby niewidoczne, ale wyczuwalne. Spokój cmentarza, pochówek dla zbyt ciężkich wspomnień i gówna zwanego życiem — o tym myśli Brzytwa.

Zastanawia się też, jak to teraz będzie? Wie, że nigdy nie zapomni, ale czy zdoła zagłuszyć echo tych wydarzeń? Na razie ściska w garści jedną z wielu monet, jakie mu dali. Podnosi ją do ust i przygryza sprawdzając, czy aby na pewno prawdziwa. Radzieckie srebrniki, za które sprzedał przeszłość.

Prawdziwa. Prawdziwa aż do bólu.

Mija kolejne drzewa. Bezlistne konary uginają się ku niemu, kusząc tak samo, jak kuszyły Judasza. Nie, żeby chciał skończyć jak najlepszy ze zdrajców, ale coś w tym jest. Sądzi, że skoro już nie ma przeszłości, to po co mu przyszłość?

Dochodzi do kryjówki, zsuwa się w dół po zboczach i patrzy zdumiony na klapę — drzwi do jego samotni. Tam, w środku, czeka żona. Jej szkatułka, jej skarb, jego ostatnia pamiątka po szczęśliwych czasach. Zastanawia się, czy za pieniądze, które teraz ma, zdoła wybudować dom, który uchowa go przed strachem i wstydem. Czy zdoła zbudować kolejną szkatułkę dla siebie?

Wyjmuje zapalniczkę i uchyla klapę. Ręką grzebie we wnętrzu i odnajduje lampę naftową. Bez ceregieli, pewnym ruchem wyjmuje ją, by zaraz cisnąć z powrotem. Krzesa iskrę i przypatruje się płomykowi. Czerwony jak krew AK-owców, gorący jak rozgrzane lufy ich karabinów, krótki jak żywot Bartka.

Nagle wszystko staje w płomieniach. Każde wspomnienie o żonie, każda kropla potu i łez, wszystkie zwierzęce występkę. Nie zostaje nic.

Wstaje i wraca tam, gdzie wszystko się skończyło. Jeszcze nie wie, dlaczego, ale i tak musi tam wrócić. Coś go woła, przyzywa.

Wydaje mu się, że słyszy huk wybuchów, terkot pepesz, rwany oddech małego bojownika i jego towarzyszki. Widzi także radzieckich żołnierzy, ich uśmiechnięte twarze i ręce wyciągnięte w jego kierunku w geście podziękowań: *spasiba sobaka, spasiba!*

Idzie za głosem, w kierunku swojej wizji.

Gdy w końcu dociera na miejsce, wszystko jeszcze płonie.

Ogień wypala litery na karcie przyszłości. Brzytwa wie, jak zapisać ją na nowo.

W głowie Janka tysiące myśli płacze się w jedność. Już wie, dlaczego.

Brzytwa już wie.

Wie, że już nikt nie zapomni.

Przecież nie sposób zapomnieć.

listopad 2007 — maj 2008

Ostrołęka — Olsztyn